ŚWIATOWID

ME
STR
W CZECH
WACJI Kc. 2·2

NIECH ŻYJE ROK 1934!

GROSZY 60



NIEBIESCY ZALOTNICY.



Teatr Mały w Warszawie wystawił sztukę Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej p. t. „Niebiescy zalotnicy", w której znakomita literatka-autorka przepięknych lirycznych wierszy i „Egipskiej pszenicy", z właściwą sobie inteligencją ... nieśmiertelny problem miłości i zdrady małżeńskiej, dając mu nową i aktualną oprawę. Bohaterami tej sztuki są lotnicy. Na zdjęciu główni wykonawcy „Niebieskich zalotników". — Stoją od lewej: Kreczmar, Świerczewska i Pośpiełowski. Dzięki ich koncertowej grze sztuka ma zapewnione powodzenie.

TAKŻE AMATORZY.



We Wiedniu od szeregu ... istnieje towarzystwo pod hasłem „Zażywaj się codziennie", którego członkowie nawet w zimie zażywają kąpieli rzecznych, nic sobie nie robiąc z mrozu. Co ... do tego ... klubu należą przeważnie starsi panowie. — Codzienne ich kąpiele w przerębli w Dunaju ściągają tłumy ciekawych, którzy zatuleni w futra z przerażeniem patrzą na śmiałków wchodzących ...

NOWY ROK W CHINACH.

Jeśli jest na ziemi kraj, gdzie całe życie jest zupełnie odmienne od tego, cośmy przywykli widzieć w Europie, to niewątpliwie są nim Chiny.

Wszystko tam jest inne, niż u nas; — i sami mieszkańcy — żółci, z ukośnemi oczyma, i język ich, i religja, obyczaje, nie mówiąc już o urządzeniach społecznych i politycznych.

Dla przykładu weźmy choćby obchód Nowego Roku, w któremkolwiek z większych miast chińskich.

Nowy Rok wypada w Chinach przy końcu naszego stycznia i uważa się go za jedną z największych i najradośniejszych uroczystości. Jest to prawdziwe święto zabaw i wesela. W dzień ten wszystkie urzędy i biura są zamknięte, wszelka praca ustaje. Mieszkańcy w świątecznych szatach wychodzą na ulice, dążąc każdy do swych przyjaciół i znajomych w odwiedziny, z podarunkiem noworocznym lub życzeniami.

Na ulicach tłumno i gwarno. Mandaryni wiezieni w lektykach, spieszą do swoich naczelników, a przed każdym biegnie policjant, rozpychając laską trzcinową tłum, zastępujący mu drogę.

Przedewszystkiem jednak prawowity Chińczyk kieruje się do świątyni Buddy i tam z wróżb stara się dowiedzieć, co go czeka w nowym roku.

Oto jakaś kobieta modli się długo przed posągiem Buddy, a potem rzuca wgórę laseczkę trzcinową i z jej spadania poznaje, czy Budda wysłuchał jej modły.

Tam znowu mężczyzna podchodzi do urny stojącej przed posążkiem i zanurzywszy w niej rękę, wyciąga numer wiersza, który powinien odczytać w wiszącej obok księdze, — zazwyczaj wypada pomyślnie — i wtedy Chińczyk oddaje się tem większej wesołości.

Inni wróżą ze świec zapalonych. Co raz widać biegnącego ulicą Chińczyka z pięknie malowaną, zapaloną świecą w ręku. Pędzi co sił, starając się donieść płonącą świecę do swego mieszkania. Jeśli mu się to nie uda, jeśli świeca zgaśnie po drodze, ma to być znakiem jakiegoś nieszczęścia — co jednak na razie nie odbiera zwykle nikomu dobrego humoru.

Tłum rośnie coraz bardziej, snując się tam i napowrót po wszystkich ulicach i placach. Otwarte sklepy z łakociami nęcą przechodniów; cyrulicy, rozstawiwszy stołki na ulicy, strzygą i golą tych, którzy nie zdążyli wcześniej odbyć tej niesłychanie ważnej dla Chińczyka czynności.

Niema miejsca, gdzieby nie odbywała się jakaś zabawa. Tam, na placu, gromada poważnych Chińczyków z dziecinną radością puszcza w górę latawce papierowe w postaci mężów i smoków. Jeden drugiemu stara się latawce zahaczyć swoim



Groteskowe figury w pochodzie noworocznym po ulicach Szanghaju.

i ściągnąć na dół — bo za to czeka go sława zwycięzcy.

Gdzieindziej rozłożyli się kuglarze wędrowni i ci skoki łamane wyprawiają, inni podrzucają w górę i zręcznie chwytają na koniec trzcinki kręcący się talerz. Tutaj grają na bębnie, tam tańczą, ówdzie pokazują teatr lalek, który się niezmiernie podoba i wzbudza wielką wesołość w otaczającym tłumie.

Tymczasem nadchodzi wieczór — i całe miasto nagle zaiskrzyło się od miljonów zapalonych lamp papierowych, jakiemi zazwyczaj przystraja się wszystkie gmachy, wieże i świątynie.

Długie ich sznury zwieszają się w poprzek ulic, błyszczą na masztach łodzi, migocą różnobarwnymi blaskami na powierzchni rzeki, gdzie rozpoczęły się gonitwy wioślarzy.

Najświetniejszą jednak chwilą zabawy noworocznej jest puszczanie w powietrze ogni sztucznych. Na dane hasło lecą w górę tysiące rakiet i kul ognistych, które pękając z hukiem, wysoko sypią miljony różnobarwnych iskier. Z rakiet wylatują ogniste węże i smoki, spotykają się z sobą, ziejąc z paszcz potoki ognia, borykają się i z hukiem i sykiem spadają na dół iskrzącą się kaskadą.

We wszystkich ogrodach palą się ognie kolorowe; czerwone, zielone, niebieskie i żółte. Całe miasto tonie w świetle — a przy blaskach ... widać niezliczone tłumy ludzi wszelakiego wieku i stanu, śmiejących się, krzyczących, rozweselonych, biegających z zachwytem od jednej zabawy do d...

... dzie kres tej noworocznej

ODPRAWA GENERAŁÓW.

Japoński minister spraw wojskowych gen. Sadao Araki wezwał na odprawę 30-tu generałów, którzy przeprowadzili zwycięską kampanję w Mandżurji. Gen. Araki należy do najtęższych głów Japonji. Dzięki niezwykłym zdolnościom przeszedł on szybko szczeble karjery wojskowej, pomimo, że pochodził z chłopskiej rodziny. Do służby wstąpił jako zwykły żołnierz, a w 50-tym roku życia odgrywał już decydującą rolę w korpusie oficerskim. On jest inicjatorem marszu na Mandżurję, jego ręka współdziałała w usunięciu drogą zamachu prezydenta ministrów Inukai w maju 1932 r.



Zdjęcie nasze przedstawia moment powitania wodzów przez gen. Araki. Pochylili oni z szacunkiem głowy, bałwochwalczo patrząc w oczy człowieka, w którego rękach są losy i przyszłość ojczyzny.

Nie oglądając się ani na trudności wewnętrzne, ani na sprzeciwy wielkich mocarstw, Araki prowadzi swoje dzieło powiększenia Japonji i jest nieoficjalnym dyktatorem tego kraju. Żaden rząd nie śmie zrobić żadnego pociągnięcia wbrew jego woli.

Wojsko całe bez zastrzeżeń opowiada się także za nim. On je zresztą jako pierwszy, poprowadził do Mandżurji, on zapoczątkował kampanję, która dała krainie „wschodzącego słońca“ olbrzymie obszary, potrzebne jej dla osiedlenia na nich nadmiaru ludności. Japonja bowiem posiada prawie największy na świecie przyrost ludności.

Mości Gospodarzu...



— Przecież widzicie, że nikogo nie ma w domu.

Nie tak to dawniej bywało!“ — To westchnienie, czy tylko spostrzeżenie nasuwa nam się niejednokrotnie, gdy podczas tradycyjnych świąt uprzytamniamy sobie, jak my je obchodzimy, a jak je obchodzili nasi praojcowie. Weźmy n. p. zmianę roku, która, chociaż niejedną już przeżyliśmy, ma jednak znaczenie przełomowej chwili. Więc naprzód Noc Sylwestrowa. Od kilku dziesiątek lat obchodzi się ją w salach koncertowych lub restauracyjnych, czy w innych lokalach publicznych. Dawniej było to święto domowe, połączone z tańcami w gronie zaproszonych gości i tradycyjnem toastowaniem na cześć Nowego Roku w chwili, gdy zegar wybijał północ. Dzisiaj te zabawy domowe, niepraktykowane już prawie nigdzie przez cały rok, nie odbywają się i na Sylwestra. W lokalach publicznych dawniej spijało się przy tej okazji wiele flaszek szampana i było huczno, bardzo huczno. Dzisiaj ludzie chodzą w tę noc, na koncerty, czy do kabaretów, może głównie dlatego, że jest to stosunkowo najtańszy sposób przejścia przez kładkę, prowadzącą ze starego do nowego roku niby to radośnie. A Nowy Rok? Ma się w ten dzień wiele wizyt, ale nie od tych, którychby się widziało radośnie, i przyjmowało gościnnie nie od starych, znajomych, ale od ludzi, którzy wcale radości nam nie przynoszą. Gdy w Nowy Rok przed południem dzwonek przy drzwiach odezwie się, zastanawiamy się, czy otworzyć drzwi tym „gościom“. Bo to pewnie będzie albo dozorca kamieniczny, albo listonosz, albo może nawet magistracki zamiatacz ulic z naszej dzielnicy, którzy... życzą nam szczęśliwego Nowego Roku, wyciągając ochoczo rękę, ale nie po uścisk naszej dłoni, tylko po... noworocznych parę złotych. Co niektóry przed Nowym Rokiem oblicza sobie skrupulatnie, ile te powinszowania będą go razem kosztować i dochodzi do wniosku, że taniej będzie wyjechać na ten dzień ze stałego miejsca zamieszkania. Nieborak źle się obliczył: wyda na wyjazd a nie oszczędzi sobie datków noworocznych, bo i ten dozorca i ten zamiatacz ulic złożą mu wizytę po jego powrocie i z równie „serdecznemi“ powinszowaniami wyciągną do niego ochoczo dłoń... Nawet, gdy w kilka dni potem chłopcy z szopką krakowską zapukają do drzwi, to w sercach naszych jest rozterka, czy otworzyć im drzwi i wydać znowu złotego lub dwa, czy nie puścić ich. Żal i jednego i drugiego: i tego złotego i tej przyjemności, jaką nam bądź co bądź ta stara tradycyjna szopka krakowska sprawia.

Ten pierwszy żal, to konieczność dzisiejszych czasów kryzysowych, kiedy niemal każdy musi się z groszem liczyć. Ale ten drugi żal, to niejako głos naszej krwi. Mimo kryzysu, mimo całej nowoczesności mamy jednak we krwi swojej, może my Polacy bardziej nawet, niż inne narody, pietyzm dla starych tradycyj, mamy żal, że jedne z nich giną, zmiażdżone bezlitosnym postępem czasu, a innych my się sami dobrowolnie musimy właśnie z powodu tego obrzydliwego kryzysu pozbywać. I wspominamy wtedy nie bez maleńkiej dozy rozrzewnienia, jak to bywało dawniej. Wspominamy i to, jak to bywało dawniej na Nowy Rok. Widzimy w duszy żaków szkolnych, gromadkami obchodzących domy i winszujących wszystkim „nowego lata“. Słyszymy w duszy ich powinszowania, ich wierszowane kolędy, w których także była prośba o „noworoczne“, ale jakoś serdeczniej i milej wyrażona, niż do nas mówi dzisiaj natrętne wyciąganie ręki. Z zakamarków dawnych wspomnień, jakby mimowoli, przypominają się nam urywki tych staropolskich kolęd noworocznych:

„Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzały
Dobrej z alembika, i do niej piernika.
Hej kolęda, kolęda!

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę,
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera.
Hej kolęda, kolęda!“

Wędrowali z kolędą nietylko chłopcy, ale i dorośli. Przebierali się w skóry dla podniecenia ciekawości i wzbudzenia przelotnego przestrachu u małych dzieci, który za chwilę w tem większą radość się zamieniał. Noc Sylwestrowa miała u dorosłych dziewcząt niegdyś to znaczenie, jakie dzisiaj ma św. Andrzej: szukano w wydarzeniach zapowiedzi, czy wyjdzie się w przyszłym roku zamąż. Były na dzień Nowego Roku przeznaczone osobne potrawy, szczególniej lemieszka z mąki pszennej, żytnej lub hreczanej. Podczas jedzenia uderzano się wzajemnie łyżkami po twarzy, bo to miało spowodować całoroczny dobrobyt. W tej samej intencji bądź to na Nowy Rok, bądź na św. Szczepana obrzucano się owsem (co dzisiaj w miastach jest... policyjnie zakazane). A nawet był zwyczaj, który dzisiaj wywołałby powszechny popłoch: ze żartu brano pokryjomu sąsiadowi jakąś rzecz, którą oczywiście po Nowym Roku mu zwracano; im więcej takich obcych rzeczy nibyto skradzionych miało się na Nowy Rok, tem dostatniej zapowiadała się przyszłość (dzisiaj zapewne z tej żartobliwej „kradzieży“ zrobiłaby się prawdziwa kradzież... Takie to już podłe czasy).

Tak bywało dawniej. Z tego wszystkiego niewiele już zostało. Ale to co zostało, choćby n. p. taka szopka krakowska, powinno się utrzymać, powinno się utrzymać przy życzliwem zrozumieniu i poparciu społeczeństwa. Możemy być dumni z całego postępu czasu, ale pamiętać musimy, że jednak nie my pierwsi na tej ziemi mieszkamy, ale że mamy praojców, którzy nam jednak w spuściźnie pozostawili wiele ładnych rzeczy...



Zdrowia, szczęścia, pomyślności“.

ZIMA TRZYMA...



Tegoroczna zima należy do wyjątkowo udałych. Mrozy zaczęły się już z końcem listopada i dotąd bez przerwy trzymają, objąwszy swoim zasięgiem prawie całą Europę od Hiszpanji aż po Ural. Nawet kraje południowe, gdzie właściwie panuje wieczna wiosna zapoznały się z zimnem i śniegiem. Największe natężenie mrozów było w Rosji sowieckiej, gdzie n. p. w Moskwie termometr spadł do minus 35 C. W Polsce najniższą temperaturę zanotowano na Wileńszczyźnie i w Karpatach wschodnich. Już od dwóch tygodni stanęły prawie wszystkie rzeki z Wisłą na czele, a ten sam los spotkał także Dunaj, Ren, Loarę i Łabę. Nawet w Anglji, gdzie o tym czasie jest jeszcze względnie ciepło popaduje śnieg. Z Rumunji sygnalizowano ogromne zadymki śnieżne, które całe osiedla odcięły od świata. Grubą pokrywą śniegu pokryte są także północne Włochy. Jednem słowem zima w całej pełni. Cieszą się z tego przedewszystkiem narciarze, którzy w roku ubiegłym w poszukiwaniu śniegu musieli się piąć wysoko w góry i stamtąd dowozić go na skocznie. Cieszą się także przyjaciele wiosny, bo przysłowie mówi: „grudzień stały, szybko wiosna i upały“. Na zdjęciu samolot komunikacyjny startujący z ośnieżonego lotniska Le Bourget pod Paryżem.

WYSTAWA PLASTYKOW LEGJONOWYCH





P. Prezydent Rzpltej zwiedził wystawę plastyków legjonowych w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie, na której zgromadzono szereg pierwszorzędnych eksponatów, ilustrujących twórczość artystyczną plastyków, którzy bądź służyli w Legjonach, bądź też ideowo są z nimi związani. Zaznaczyć należy, że pierwsza wystawa poświęcona sztuce Legjonów odbyła się w 1916 r. w Krakowie z inicjatywy ś. p. Jerzego hr. Mycielskiego; znanego historyka sztuki i profesora Uniw. Jagiell. Na zdjęciu widzimy P. Prezydenta w towarzystwie prezesa Sławka, szefa kancelarji cyw. dra Helczyńskiego, płk. Głogowskiego, gen. Kordjan-Zamorskiego, mjr. Ryszkiewicza, art. mal. Szreniawy Rzeckiego, Szczyglińskiego i innych.

EPOKOWY WYNALAZEK.

Chemikowi fińskiemu prof. Komppu udało się otrzymać z torfu produkt, podobny do ropy, który po przedystylowaniu daje 17 proc. benzyny, 28 proc. nafty, 25 proc. oleju, itd. Nie potrzeba dodawać, że odkrycie to może mieć epokowe znaczenie.

TRZY MINUTY Z ZYGMUNTEM NOWAKOWSKIM.

Trzeba przyznać, że ogół autorów, czy popularnych powieściopisarzy stanowi dla nas postacie zagadkowe. Czy wiemy, jakim naprawdę jest Boy, czy Marja Dąbrowska? Możemy się conajwyżej domyślać o ich życiu, usposobieniu, przyzwyczajeniach, czy upodobaniach. Ich książki nie zdradzą nam tych tajemnic.

Jeszcze mniej możemy powiedzieć o autorach posiadających dowcip iskrzący się świetnemi powiedzonkami, czy też pełen czaru humor. Jakiż jest w domowem zaciszu Nowakowski: melancholik, czy olśniewający powiedzonkami „kawalarz“. Makuszyński — to najzupełniejsza tajemnica. O „mistrzuniu“ Własicie, autorze rymowatych (nie rymowanych — różnica!) tang wiemy znacznie więcej, niż o Słonimskim — ten — ci jest dopiero prawdziwy Sfinks. Wogóle wiemy tylko, że piszą i... co piszą.

W okresie noworocznym, kiedy stoimy już wobec jednej wielkiej zagadki: jakim będzie ten następny rok — ludzie lubią bawić się w odkrywanie pewnych tajemnic, budzących ogólne zaciekawienie.

Toteż chcąc zobaczyć jak właściwie „po cywilnemu“ wyglądają najwybitniejsi przedstawiciele rasowego humoru i owej zdolności żonglowania i koziołkowania słowami niczem rakietami — nie miałem wielkiej trudności w ich wyszukaniu. Zygmunt Nowakowski — jedyny w Polsce przedstawiciel dowcipu w feljetonie — jest najwybitniejszą postacią wśród tych autorów.

Dzwonek. Drzwi się zlekka uchylają. Przez szparę wygląda nieufnie twarz. To Wiktusia — słynna w historji teatru krakowskiego — służąca Zygmunta Nowakowskiego, broniąca wejścia do jego mieszkania, niczem najsurowszy Cerber. Drzwi jednak otwierają się szerzej.

Pokój, w którym rozmawiamy jest przestronny i jasny. Ściany ze wszystkich stron otaczają książki. Z okien rozlega się daleki widok. Na stoliku mały „portable“. Wszędzie rozrzucone książki o Rosji i wydawnictwa sowieckie. Nie darmo przecież powrócił przed paru dniami z kraju piatiletki.

— Uwadze celników w Stołpcach uszedł sowiecki kaszel i katar — mówi Nowakowski. Przeszmuglowałem go, niczem najlepszy przemytnik. Ale do dziś dnia odczuwam go porządnie. Pozatem przywiozłem dużo ciekawych wrażeń, które już usilują ze mnie wyciągnąć. Nie mogę się opędzić rozmaitym prośbom o odczyty. Ale odmawiam — bo gdybym jeden wygłosił, to potem... amen.



Znakomity artysta-malarz Kazimierz Sichulski, malujący portret Zygmunta Nowakowskiego

Wracając jednak do tematu tego wywiadu muszę wyznać zupełnie szczerze, że nie lubię opowiadać, a szczególnie nie lubię słuchać dowcipów. Skoro przy stoliku w kawiarni znajdzie się jeden człowiek opowiadający dowcipy — jestem zabity. Poprzednio, skoro jeszcze nie pisałem swych feljetonów dawałem się ludziom eksploatować. Ale dziś robię zawód rozmaitym osobom, zapraszających mnie z etykiety „ten miły Nowakowski“. Okazuje się, że „miły Nowakowski“ siedzi poważny i nie puszcza żadnych rac dowcipów, zapowiadanych przez gospodarzy.

Lubię błyskawiczne, cięte, ad hoc powstałe odpowiedzi, bądź też robienie „kawałów“. Dawniej skoro jeszcze pracowałem w teatrze, nawet jako dyrektor twierdziłem, że dzień bez „kawału“ jest dniem straconym.

Przypominam sobie, że kiedyś w teatrze krakowskim spóźniłem się na próbę, którą prowadził ś. p. Sosnowski. A kto znał Sosnowskiego, ten wie, że nie można było się spóźnić na próbę. Przychodzę na scenę. Sosnowski jest wściekły. Wtedy wyjmuję patetycznym ruchem złoty zegarek, mówię, że źle chodzi, że mnie naraża na spaźnianie się i z wściekłością rzucam go o ziemię. Zegarek rozlatuje się w drobne części. Robi się konsternacja, Sosnowski, który miał zamiar zrobić mi awanturę jest przygnębiony moją stratą. Próba idzie normalnie. Dopiero potem dowiedziano się, że zegarek był z blachy i pochodził z teatralnej rekwizytowni. Widząc swe spóźnienie, wpadłem przed wejściem na scenę do rekwizytorni, złapałem zegarek, no i dzięki temu zostałem uratowany.

Nowakowski jest po swej ostatniej podróży bardzo zajęty. Trzeba więc kończyć wywiad. Oglądam jeszcze fotografje ukochanego pieska „Fordzika“, który zginął śmiercią tragiczną. Jego następcą jest teraz przepiękny „Karino“ bohater jednego z feljetonów Nowakowskiego, bawiący obecnie na wsi.

Potem uścisk dłoni — i wychodzę.

— — — — — — — — — —

Teraz już wiemy, jak wygląda przedstawiciel prawdziwego dowcipu wśród naszych autorów. Tajemnica jego prawdziwego oblicza została zdradzona.

Kraków, w grudniu.

J. Radzimiński

DLA WAS TO IGRASZKA...

Mewy czyhające na zdobycz.

Mewa siodłata należy do licznej rodziny mew morskich, spotykanych na wszystkich morzach świata. Żyje w ogromnych stadach, budując gniazda w załamaniach skalnych lub trzcinach nadbrzeżnych, składając doń trzy do czterech jaj, które stają się bardzo często pastwą ubogiej ludności wybrzeży. I tak np. hrabstwo Norfolk w Anglji dostarcza w ciągu roku do Londynu 20.000 jaj mew. Zachłanność ludzka nie poprzestaje na tem. Pióra ze skrzydeł tych ptaków stają się co pewien czas modną ozdobą kapeluszy damskich, to też cały zastęp osób w niemiłosierny sposób tępi mewy, w pogoni za łatwym zarobkiem.

Mewy żywią się rybami i owadami, dlatego też lot mają szybki i zwinny, dziób lekko zakrzywiony, przystosowany do noszenia zdobyczy z morza na ląd.

Jak wiemy, we Włoszech wyszedł niedawno zakaz tępienia ptaków śpiewających. Ten kulturalny zakaz znajdzie echo z pewnością niedługo i w innych krajach. Ciekawe, czy i mewy doczekają się kiedyś opieki od swych największych wrogów — od ludzi?



Mewa siodłata.



Nieprzejrzane stada mew na skałach Nowej Zelandji.

Następny numer **»ŚWIATOWIDA«** wyjdzie w zwiększonej objętości **32 stron** i będzie poświęcony sportom zimowym.

UCIECZKA NIEBEZPIECZNYCH BANDYTÓW



Policja badająca zejście do kanału, którym uciekło 58 skazańców z więzienia w Barcelonie.

Ucieczka z nowoczesnego więzienia jest rzeczą niezwykle trudną a czasami zda się niewykonalną. Mimo to jednak pomysłowość skazańców jest wprost niewyczerpana i dlatego często, drwiąc sobie z grubych murów, stalowych krat, żelaznych drzwi i uzbrojonych strażników, udaje im się wydostać na wolność. Taki wypadek zdarzył się właśnie w Barcelonie, gdzie 58 skazańców odkryło na podwórzu zamaskowane wejście do kanałów i tą podziemną drogą umknęło. Podobny wypadek zdarzył się mniej więcej przed 10-ciu laty w Krakowie w więzieniu Św. Michała. W ogólności kanały, jako miejsce schronienia i ucieczki dla elementów przestępczych mają swoją specjalnie kartę nietylko w kryminalistyce, ale także i w literaturze. Dość wspomnieć „Nędzników" Wiktora Hugo, których bohater, człowiek gołębiego serca Jean Veljean, ścigany przez policję, ukrywa się w kanałach Paryża, i przeżywa tam straszne chwile.

Motyw walki w kanałach pomiędzy zbrodniarzami a policją względnie detektywami był także nieraz wykorzystany we filmach. Wracając do wypadku w Barcelonie wprost wierzyć się nie chce, że tak olbrzymia ilość ludzi mogła uciec niespostrzeżona przez dozorców.

LUDZIE ZZA DRUTÓW.

Po przewrocie hitlerowskim prawie 150.000 ludzi znalazło się w obozach koncentracyjnych, gdzie poddani oni zostali bardzo surowemu reżimowi. Więźniów nierzadko bito i maltretowano, zmuszano ich do ciężkich robót i poniewierano ich godnością osobistą. Wśród więźniów tych największy procent stanowili komuniści, żydzi, socjaliści i wszelakiego autoramentu pacyfiści.

Przed kilku tygodniami Hitler zapowiedział, że rewolucja narodowo-niemiecka została oficjalnie zakończona, że trzeba zerwać z obchodami i manifestacjami i jąć się szarej codziennej pracy, która stwarza dopiero prawdziwe wartości. Od czasu tego przemówienia stosunki w obozach koncentracyjnych poprawiły się, uznano bowiem, że nie należy się znęcać nad ludźmi, którzy właściwie nic nie zawinili poza tem, że mieli inne przekonania. Po plebiscycie zaś, w którym 80% Niemców oświadczyło się za polityką Hitlera, postanowiono obozy koncentracyjne zupełnie zlikwidować. Pierwszy krok w tym kierunku uczyniono w przeddzień Bożego Narodzenia, kiedy z obozu w Oranienburgu wypuszczono 5.000 więźniów. Moment ten przedstawia zdjęcie.



Symbolem Rosji sowieckiej są dymiące kominy fabryk, szyby naftowe i traktory. Tym bogom z żelaza, betonu i cegły oddała także i kobieta sowiecka swe serce.



Robotnice w czasie południowego posiłku.



Wymierający typ dziewczyny wiejskiej, która spełniała posłusznie swe obowiązki w domu ojca a potem męża.

★ EWY CZERW

Piszę „Ewy", choć nie należy dopatrywać się w tem charakterystycznego przydomka. Kobieta sowiecka pod wieloma względami mniej zasługuje na taki przydomek od innych, a te „Ewy" są poprostu niejako uzupełnieniem do „raju" i są jedynym pieprzykiem w tej, może za mało pieprznej historji.

Pisać o kobiecie z przymiotnikiem etnograficznym, jest dość ryzykowne, jeśli nie określi się innych t. zw. okoliczności towarzyszących — np.: „Kobieta chińska w ceramice" lub „kobieta polska w liryce". Zróżniczkowanie typów kobiety jest wszak tak rozwinięte w każdem społeczeństwie. Ale właśnie kobieta sowiecka zaczyna być typem bodaj najwięcej krystalizującym się, w świeżym rozczynie nowego porządku. Nie chwaląc samego rozczynu, wolę zasługę szybkości procesu przypisać samemu objektowi.

Mówiono o kobiecie rosyjskiej, której mutacją rozwojową jest kobieta sowiecka, że stanowi ona zewnętrznie i wewnętrznie lepszą część swego narodu i godzę się z tem, choćby mi miano zarzucić męski subjektywizm. Nie ubiegam się zresztą o bezwzględne zaufanie dla mych impresyj, temwięcej, że mam zamiar mówić wyłącznie o kobiecie w t. zw. wieku interesującym. Nie rezygnując jednak z powagi, przyjmuję z miejsca rzeczony podział: kobieta sowiecka zewnętrznie i wewnętrznie. To zewnętrznie uzależnione jest w dodatku bardzo od pory roku.

A więc kobieta zimą: Wyszarzały, wyświechtany tułup, para brudnych niedźwiedziowatych walonek, czerwona chustka, lub weiśnięty głęboko na czoło stary łach filcowego kapelusza i dopiero wśród tego wszystkiego przebłyskują z poza niesfornych kosmyków włosów — oczy. W te oczy trzebaby dobrze spojrzeć, aby rozpoznać z

zasadniczego niebezpieczeństwa
mężczyzn ze strony kobiety.

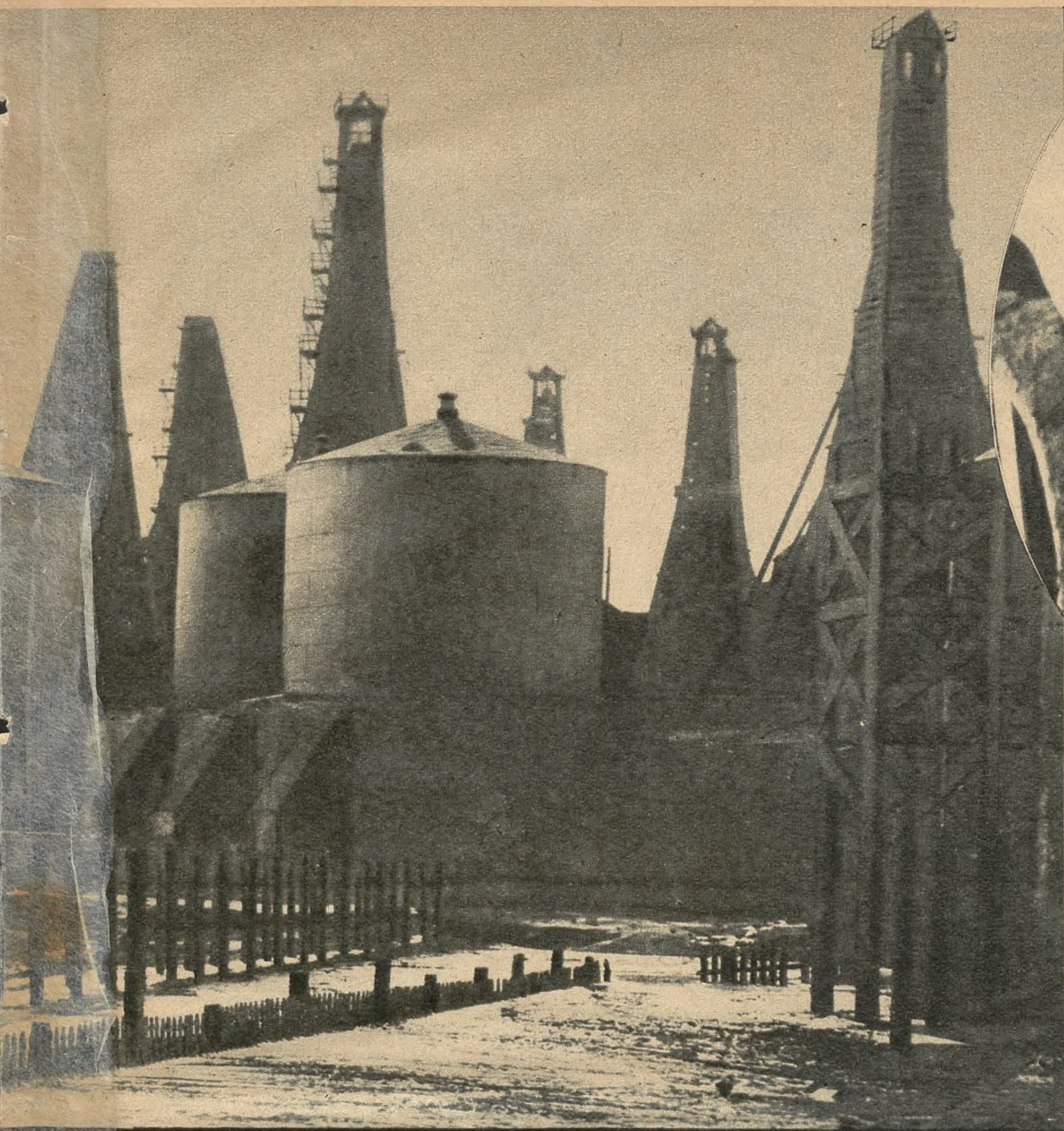
Latem gruby kokon zimowej
włoki pęka i kobieta sowiecka o
wia się. Kusa, straszliwie kusa i
sna sukienczyna, wkładana cz
wprost na ciało; nogi (mówmy sz
rze — najpiękniejsze nogi pod słońc
bose, chronione tylko przez płytkie
szty; włosy podwiązane wstążką
ujęte w siatkę — no i wreszcie wid
ne twarze. Sąd o nich jest oczywi
rzeczą gustu, jedno jednak możn
nich napewno powiedzieć, że nie są
grubym sztychem nałożoną maską,
szczerą i świeżą naturą. Jest to p
w której kobieta sowiecka ma w s
coś z żywiołu i jest niebezpieczną...

Nie mówiłem jeszcze o oczach, te
wiem wchodzą raczej w zakres dru
go problemu t. j. kobiety „od w
nątrz". Przypuszczam, że nikt nie
mie za przesadę, jeśli powiem, że z
bietą „en masse" rozm wia się w
kiem. Właściwie na tej zasadzie p
prowadza się wszystkie późniejsze
minacje, aż do najwyższego typu
sunków. I otóż ta rozmowa z kob
sowiecką jest właśnie trudna. L
wie, czy kto uwierzy w to twierdze
tak sprzeczne z utartem pojęciem o
biecie rosyjskiej starego regime
czuję, jak bardzo narażam się, ośw
czając, że tych magicznych zna
wzrokowych odbiera się w Sowie
mniej za miesiąc niż n. p. w War
wie — za dzień...

— Jakżeż jest zatem z tą tam
ną miłością i osławioną teorją „sz
ki wody" — westchną liczni rozcz
wani i jeszcze liczniejsze rozczaro
ne. Zapewniam dla ich spokoju,
wolna miłość istnieje w Sowietach
w stopniu, odpowiadającym zapot
bowaniu, t. j. w tym samym, co u
Pozatem istnieje tam też miłość w



Ukrainka Ludmiła Otzup, uznana na konkursie w Moskwie za najpiękniejszą dziewczynę Sowietów.





Wszystkie zawody stoją obecnie w Z. R. R. S. przed kobietą otworem. Na zdjęciu rolniczka z okolic Moskwy, prowadząca traktor

Członkini kołchozu z rasowym kogutem, za którego otrzymała pierwszą nagrodę w konkursie.

...WONEGO RAJU.



nym cerkiewnym jeszcze stemplem. Wreszcie — to twierdzę wbrew entuzjastom — spotyka się i miłość w formie komercjonalnej. Nie znaczy to, aby mężczyzna spotkawszy się z równie nieoczekiwaną, jak przejrzystą propozycją rozważał ją zaraz pod materjalnym kątem widzenia. Często bowiem deklaracja taka jest poprostu wynikiem zasady „równa z równym“.

Z tego, co powiedziałem, widać, że nie mam wcale zamiaru stroić kobiety sowieckiej w togę westalek bez temperamentu. Czerwona Ewa ma tę samą treść co i nasza, forma jej jednak uległa znacznej zmianie. Rzuca się więc najpierw w oczy zanik sztucznej kokieterji, tego przerafinowanego wabika, którym nasza kobieta posługuje się w życiu, zdaje się nazbyt często. Jest to może skutkiem udekretowania wolnej miłości, oraz ciężkich warunków życia, które piętrzą także przeszkody w zdobywaniu pawich ogonów.

Ale to nie wszystko. W zmienionej formie zachowywania się czerwonej kobiety należy i można dopatrzeć się jeszcze specjalnego nastawienia psychologicznego, o zacięciu nawet ideologicznem. Kto znał choć trochę społeczeństwo rosyjskie przed rewolucją, ten wie, jak potężnym był ten czynnik, szczególnie wśród młodzieży, ile złego i dobrego on sprawił. Dziś oficjalnie wyklęty jako słabość, tkwi i krzewi się bujnie pod zmienioną nazwą entuzjazmu.

Tą przechrzczoną egzaltacją dotknięta jest znowu przedewszystkiem młodzież, a wśród niej najwięcej kobiety. I to tłómaczy się prosto: „Tatjanka“, chowana do niedawna w stanie napół niewolniczym w domu ojca-gbura, karmiona trucizną tragiromansów, a równocześnie ściskana tak, aby zmieścić się bez reszty między rondle i kołyski swego przyszłego gbura-męża, została nagle spuszczona z podwórzowego łańcucha. Razem z carskim, zawalił się dla niej reżim ojcowski i mężowski. Wolność była coprawda bardzo chłodna i głodna, ale była dla niej prawdziwą wolnością, do miłości włącznie. A gdy ta ostatnia pokazała się na dłuższą metę niedość ciekawą, egzaltacja zaczęła działać w innym kierunku — zdobywania sobie równych praw i równych korzyści z życia.

Dziś kobieta sowiecka jest zatem w transie budownictwa społeczno-gospodarczego i przejmuje się niem tak, jak dawna „Tatjanka“ romansidłami. Stąpa mocno z marsem na czole, z ogniem w oku i marzy po dawnemu ale o... żelaznych traktorach, któremi ma kierować, o ognistych paszczach gigantycznych pieców, które bryzgną strumieniami metalu za jednym ruchem jej drobnej ręki, o tysiącach robotników, którzy będą posłuszni jej skinieniu. Jednem słowem marzy o karjerze w wielkim jak świat kraju, gdzie wszystko w zasadzie jest możliwe i dostępne. Czy można się zatem dziwić, że nie ma dość czasu na malowanie brwi i karminowanie warg, ani dość ochoty do zalotnych i upokarzających drygów w stosunku do mężczyzny, który był jej panem, ale nim już być przestaje.

„...6 miljonów pracujących kobiet, 323 tys. kobiet w partji, 1½ miljona w „Komsomole“ (!!), 300 tys. kobiet członkiń sowietów (rad), komitetów wykonawczych i rewizyjnych komisyj, 4½ miljona w związkach zawodowych“ — tak brzmi oficjalna statystyka ostatniego roku „piatiletki“.

Mężczyzna jako autorytet społeczny cofa się, bity doktryną, którą sam stworzył. Ale nawet ta ostatnia refleksja nie zmienia faktu, że nie wart on już tylu zachodów.

I to mówią mu na każdym kroku oczy czerwonej Ewy.

K. W.

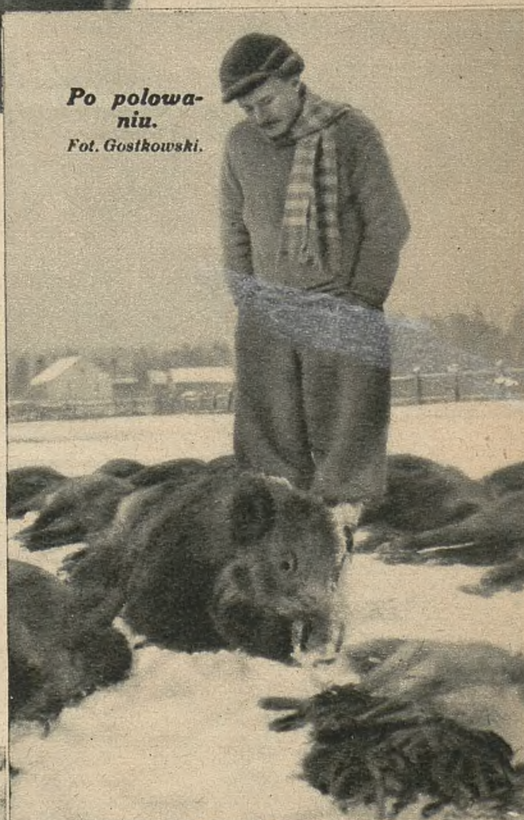
FELIKS DANGEL (Wilno).

NA ODYŃCA!

— Pan Cierpiałło... sąsiad z Litwy...
— A... a... a...
— Z Dokszyckiego panocku drogi, ale mnie połowę ciała za granicą zostało, a druga tylko w Polsce...
— No na brak ciała pan uskarżać się nie może...
— Ot facecje... takie teraz czasy, że nie wiadomo jak żyć. Z rozpaczy panie czwarty raz już żonaty jestem...
— Ubolewam...
— Bo widzisz pan pierwsza nieboszczka, daj Panie jej niebo ze skąpstwa się na śmierć zamorzyła, druga nic sobie niewiastą była, ale że matkę wiedźmę miała, więc ja do starej z dubeltówki jak nie wygarnę tak obie się wyniosły z domu... Trzecia... ach Panie to była kobieta... Dobra powiedzieć można, tylko nadto ogórki z miodem surowe lubiła.
— Więc co z tego?
— Nic z tego — tylko umarła. Mówię jej nieraz „nie żrej tyle Teklo bo cię Bóg pokara" i co pan powiesz w dwa tygodnie słabość jakaś obojętna ją schwyciła i umarła.
— A czwarta?
— Ta jeszcze żyje, ale manję prześladowczą ma. Duchy nieczyste ją po nocach trapią i spać nie dają...
— Niech sąsiad naboi nie zapomni...
— Nie bój się panie Adamie!... i bez flinty ubić dzika można...
— Jakim sposobem?
— Ojciec mój z dzidką na odyńcą chadzał...
— Ale ze sztućcem to nieco wygodniej...
— Zniewieścienie... tylko zniewieścienie... Był u nas szlachetny marszałek Jegen, co jak w lasach



W drodze na stanowiska.



Po polowaniu.
Fot. Gostkowski.



Stado dzików.

Mińskich kolanami niedźwiedzia ścisnął, to mu, aż jęzor z pyska wylazł...

Tubalny głos oryginała ginął w świątyni leśnej, co chłonęła w siebie garść ludzi, w kolumny sosen ośnieżonych idącą na polowanie.

Śnieg w bajkę knieję wymodelował, nagiął gałęziny co słabsze, wzniósł zamczyska zaklęte, z kłód obalonych rozjaśnił... wyczarował knieję...
— Ty staniesz tu!... zadowolonyś ze stanowiska?
— Dobre... i widok piękny na las...
— Ty kochanie myśl o polowaniu a nie o pejsażach. Wstyd będzie z kresowych łowów z pustemi saniami powracać.
— No dobre!... tylko postaw odemnie z daleka tego grubego oryginała. On gotów na moich oczach zacząć dziki dusić kolanami.
— Nie taki on straszny!... Wąsy jak u lwa, ale serce gołębie.
— Bywaj!...
— Bywaj!...

Jeszcze przez chwilę skrzypiały na śniegu ludzkie kroki, ale majestat ciszy leśnej stłumił je, jak tłumią puszyste dywany, kroki dysonanse w pałacowych salach...

Las tylko, las zimowy przepiękny pełen srebrzystych girland okiściowych gałęzi, wydm białych brylantami iskier śniegowych pokryty...

Co zerwie się płat śniegu z gałęzi to i ten z mgiełką widmową się rozsypawszy na ziemię opada jako to westchnienie... duchów leśnych...

Ale tam... poza tym ostatnim czarownym planem dekoracji mistrza zimy... sucho i dźwięcznie skrzypnęła trąbka sygnałówka...

Raz krócej, a potem jękliwie i długo idąc, od pnia do pnia, płynąc po polanach leśnych, rozłamując się w tysięczne dźwięki o mozaikę gałęzi...
— O... o... ho!... o... ho!... o...

Ruszyła nagonka!

— — — — — — — —

Zdawało się niepodobieństwem omal by zwierzę tak ciężkie i niezdarne w sylwetce, na taki galop po puszystym śniegu zdobyć się mogło. Aż nad grzbietami ciemnych kłębów powstawał dymek uderzonego śniegu...:

Ale kula go tknęła!



W zawianej śniegiem kniei.

Miało się wrażenie, że słyszy się jej uderzenie w bok zwierzęcia.

Potknął się w posuwistym galopie i ryjem utknął w śnieg.

Wstaje jeszcze, unosi łeb, wielki masywny. Tamtych już nie widać, reszta stadka pogalopowała w gąszcz, pozostawiając na śniegu tylko zryte głębokie bruzdy...
— Czy strzelać jeszcze?
— Nie, już nie potrzeba!...

Łeb opadł na śniegu jak wielki kleks na poemacie białej leśnej zimy...

Echo leśne, na białej bieliźnie śniegu zbudzone łoskotem strzałów pobiegło w dal zagajników, do których nie dotrze człowiek.

— — — — — — — —

— Taki sam casus pascudeus, miałem panie z matką mojej drugiej żony. Składam się panie, palę do baby raz, a ona nic, piszczy tylko i ucieka. Palę drugi raz, a ona poszła. Nieczysta siła wprost — choć dobrze strzelam, a strzelałem wtedy loftkami.
— Nie łżyj Anzelmie, tybyś nawet do muchy nie strzelił!
— Prawdę mówię! I to samo dziś z tym dzikiem panie było!...

Rozdzwoniły się janczary, po cichej leśnej drodze...

Wlas i ziemię uśpioną opadły fiolety zachodu, ciche i pastelowe jak tylko o zimie także być potrafią.

Do ludzkich sadyb biegła biała droga... do dworów, do wsi, do dalekiego miasta...

GENEZIS PO MURZYŃSKU.

Napisał
WIKTOR ŁABUNSKI
MEMPHIS U. S. A.



Pan Bóg upomina Zebę. Scena ze sztuki murzyńskiej „Zielone pastwiska".

LONE PASTWISKA. Bajka w 18 obrazach
ściach), Marka Konelly'ego. Nagroda Pul-
a 1930. Wystawiona przez Laurence Rivers.
łem na tę sztukę teatralną, czyli jak ją au-
zywa, bajkę, z wielkiem zainteresowaniem:
sztuka, która zdobyła rekord przedstawień,
na amerykańskie stosunki. Wystawiona
pierwszy w Nowym Jorku w Mansfield
re w lutym 1930, szła bez jednego dnia prze-
do 29 sierpnia 1931, czyli 640 przedstawień.
rowała do Chicago, gdzie była grana 160
potem do innych miast, wszędzie zdobywa-
kordy. Wreszcie poszła na prowincję, do
zych i mniejszych miast, na 3, 4, 5 dni, albo
rę tygodni. Gdy doszła wreszcie do nas, do
isu, było to 1368-me przedstawienie tej sztu-
konane przez tę samą trupę teatralną
ence Rivers) przez tych samych aktorów
jednego), którzy to wykonali na premjerze.
nak tyle razy już się sparzyłem na amery-
m teatrze, widziałem tyle marnych przed-
ń w najlepszych teatrach New Yorku, Chi-
le szmiry przy prowincjonalnych gościn-

łem nieco strachu. Ale tym razem się nie zawiodłem: sztuka arcyciekawa, przedstawienie pierwszorzędne. Ani na chwilę nie ustaje zainteresowanie.

„Zielone Pastwiska", jest to przedstawienie historji Starego Testamentu w tej formie, jak ona jest wyobrażona przez dziecinny i prymitywny umysł murzyna. Murzyni przez 200 lat swego pobytu na kontynencie amerykańskim stworzyli swój, bardzo odrębny, ale też malowniczy djalekt, swoje zwyczaje i swoją specyficzną moralność, niezawsze zgodną z duchem i literą prawa białego człowieka. Stworzyli też swoją odrębną religję, w granicach uznanych sekt protestanckich, religję bardzo pogodną, prostą, życiową i bardzo ludzką.

Sztuka cała jest odegrana przez aktorów-murzynów, wśród których jest kilka pierwszorzędnych talentów. Taki np. Richard B. Charrison, człowiek sześćdziesięciokilkuletni, który przed „Pastwiskami" nie miał nic wspólnego ze sceną prócz wielkiego zamiłowania, daje w roli Pana Boga postać niezwykle wykończoną, doskonale

tną, nieco groteskową sylwetkę Archanioła Gabrjela, daje Doe Green. Daniel Haynes, jako Adam i Ezra jest świetny. Whitney jako zbiedzony a bardzo naiwny Noe, również jest doskonały. Inne role (a jest ich przeszło 60, nie licząc statystów, którzy również tworzą doskonały chór) są również świetnie obsadzone, choć nie brak wśród nich zupełnych amatorów.

Całość przedstawiona jest w 18 obrazach, następujących po sobie bardzo szybko; w czasie zmiany dekoracji chór za sceną śpiewa t. zw. „spirituals", murzyńskie pieśni religijne. To jest również „ars" stworzony przez murzynów, nie mający sobie równego, o którym warto byłoby pomówić w osobnym artykule. Część dekoracyjna i kostjumowa jest bardzo uproszczona. Kilka płacht kolorowych tworzą tło dekoracyjne; zmiana niektórych akcesorjów i światła decydują o zmianie miejsca. Wnętrza (sceny 1. 8) zrobione ukośnie, zajmują tylko mały kawałek awansceny. Kolorowe (perkalowe) długie tuniki, skrzydła z kartonu, stanowią strój Aniołów. Ludzie są poubierani współcześnie, tak, jak się ubierają



Cherubinek dławi się ością rybią. Scena w niebie.

(Ciąg dalszy ze str. 10-ej).

murzyni. Treść i układ sztuki są tak niezwykłe, że pozwolę sobie opowiedzieć je w kolejności obrazów, ze wszystkiemi najbardziej interesującemi szczegółami.

Rozpoczyna się widowisko od sceny w szkole niedzielnej. Czytelnik musi chyba wiedzieć, że z powodu braku dominującej religji w Ameryce i mnogości sekt, nauka religji w szkołach powszechnych się nie odbywa. Natomiast każdy Kościół, czy to Baptystów, czy Presbyterjanów, czy Metodystów, ma swą szkółkę niedzielną, gdzie w godzinach porannych, przed nabożeństwem odbywa się nauka religji. Rzadko uczą religji osoby duchowne; przeważnie zaś osoby świeckie, mniej lub więcej (przeważnie mniej) znające Biblję i katechizm a głównie znane z pobożności i cnotliwego prowadzenia się. Szkoły niedzielne są osobno dla białych i dla murzynów, jak zresztą i kościoły, z których niektóre są wyłącznie dla murzynów, z murzynem-pastorem na czele.

Pan Deshee, starszy murzyn, uczy dzieci murzyńskie historji Starego Testamentu. Padają pytania, jak wygląda Pan Bóg? Pan Deshee odpowiada, że prawdopodobnie coś w rodzaju pana Smitha, naszego pastora. A czy w niebie jedzą rybę? Niewątpliwie jedzą, odpowiada pan Deshee, nietylko jedzą rybę, ale również palą 10-centowe cygara (szczyt marzeń murzyna). Pan Deshee wreszcie, na zakończenie lekcji robi przegląd tego wszystkiego, co dotąd było opowiadane. W trakcie tego, jak opowiada o stworzeniu świata, scena się ściemnia, głos jego się oddala i po chwili znajdujemy się w niebie.

Aniołowie płci obojga, czarni jak węgiel, przechadzają się w niebie i pieśniami chwalą Boga. Jednocześnie odbywa się „fishfry", smażenie i spożywanie ryby, największy przysmak murzyński. Archanioły częstują cygarami. Jeden z Archaniołów rozdaje czeredce małych cherubinków dyplomy z ukończenia szkoły niedzielnej. Pojawia się Archanioł Gabrjel i oznajmia przyjście Pana Boga: Zjawia się Pan, przemiły starszy mężczyzna, o niebardzo czarnej cerze, w czarnym tużurku i białym krawacie, z długim siwym rozwianym włosem, a la Franciszek Liszt. Przyjmuje poczęstunek cygarem i zapowiada, że postanowił stworzyć świat. A więc na rozkaz „Niech będzie niebo i ziemia", scena się zapada w mrok, słyszymy grzmoty; scena się następnie oświetla, Aniołowie z podziwem oglądają stworzony przez Boga świat i śpiewają hymn pochwalny. Pan za-

powiada, że idzie na ziemię, by stworzyć szło
ka. Pan, jak i wszyscy Aniołowie mówią
czystszym djalektem murzyńskim, pełnym zw
tów nieoczekiwanych i antygramatycznych.

Scena 3. Ogród rajski. Adam właśnie zos
stworzony. Murzynisko jak dąb, przeciąga
rozgląda się i słyszy głos Pana: „Nudno ci będ
samemu, więc ci stworzę żonę". Po chwili ci
ności na scenie widzimy Adama już w towa
stwie Ewy. Pan Bóg ostrzega, by jedli owoce
wszystkich drzew rajskich, prócz owocu zak
nego.

Scena 4. Kain właśnie zabił Abla. Tłumaczy
przed Panem wykrętnie, jak to zwykle czy
murzyni. „Pójdź sobie stąd, powiada do ni
Pan, i załóż rodzinę. Jak ktoś ma wielkie zm
twienie, niema lepszej rzeczy, jak sobie zało
rodzinę".

Scena 5. Kain po długiej tułaczce spotyka m
dą murzynkę, której proponuje związki małż
skie.

Scena 6. Jedna z najbardziej kapitalnych s
Kancelarja Pana w niebie. Zwyczajne, dość
szargane biurko, typowe dla amerykański
„office'u. Mocno skrzypiący fotel, na którym
dzi Pan. Archanioł Gabrjel figuruje jako sek
tarz Pana. Pan zajęty pisaniem i katalogo
niem ludzkości. Jest mocno niezadowolony z
go świata, który sam stworzył. Ludzie nawza
się oszukują, mordują, okradają. Wygląda p
okno, widzi ziemię, ludzi, czyta w ich myśl
„Ot, naprzykład ten chłop, przecież ja wiem,
on się z nią nie ożeni; t... głupia ta dziew
na". Wraca do biurka. Gabrjel z zachwy
ogląda i przymierza nowiuteńką trąbę, rodzaj
gu myśliwskiego. Blacha błyszczy, aż oczy
mrużą. Gabrjel ma ochotę zatrąbić, ale się
Zatrąbić, czy nie? Wreszcie decyduje się, p
kłada do ust... Pan, nie odwracając się, m
„Nie trąb". „Wcale nie chciałem trąbić, tak t
sobie przymierzałem".

Pan wreszcie decyduje się spojrzeć na św
który stworzył i którego nie oglądał przez
400.

Scena 7. Droga wiejska. Pan, zawsze w czar
tużurku, ale tym razem w czarnym szerokim
peluszu i z laseczką, idzie tą drogą. Wzdłuż
ny ułożony jest ruchomy pas, po którym
idzie w kierunku odwrotnym do ruchu pasa
ten sposób pozostając przez cały czas na śro
sceny. Inne osoby tej sceny wjeżdżają na
pasie, również jak krzaki, „zamarkowane" d
i t. d., tak że z widowni się wydaje, że Pa
osoby i przedmioty wymija. Naprzód spot
grupę chłopaków, grających w kości (ulub
gra murzynów). Pan ich gromi, ale w odpowi
słyszy tylko „Idź swoją drogą, kaznodziejo".
źniej napotyka dziewczynę z ukulele (rodzaj

WARSZAWA W NOCY.



gitary), śpiewającą piosnki sprośne. Dziewka ocno umalowana, ubrana niedyskretnie, za co staje również reprymendę. Wreszcie dogania ana stary murzyn, również w tużurku, bardzo iedzony i zapeszony. Zaczyna się rozmowa. Muyn się nazywa Noe, i jest kaznodzieją. Narzeka ludzie wcale nie żyją po Bożemu, ani na Koiół nic nie dają, tylko się łajdaczą. Zaprasza ana, którego uważa również za kaznodzieję, na iad do domu.

Scena 8. W domu Noego. W oczekiwaniu obiaa rozmowa, z której wreszcie biedny Noe się domyśla że ma przed sobą Pana. Pan każe Noemu ybudować dużą łódź i nazwać ją Arką. Zabrać oją rodzinę i po jednej parze z każdego gatun zwierząt. Noe przerywa: „I żmije też?". „I ije też", spokojnie odpowiada Pan (murzyni rutnie boją się żmij). „To, czy nie mógłbym wypadek ukąszenia żmiji mieć na pokładzie dwie beczki wina?". „Jedną beczkę możesz zaać", odpowiada Pan. Noe się spiera i koniecznie ce mieć dwie beczki, aż dostaje reprymendę i pokaja się. Żona Noego podaje obiad.

Scena 9. Arka wykończona. Chodzą wkoło niej urzyni w strojach niedzielnych, urządzają bityki, z Noego się wyśmiewają. Dwu rywali się je na noże, jeden z nich zabity. Cierpliwość Pa się wyczerpała, zaczyna się ulewa. Synowie ego pośpiesznie ładują zwierzęta na okręt.

Scena 10. Arka na pełnem morzu. Noe wypuza gołębia, który wraca z gałązką oliwną. Raść. Przychodzi Pan i Gabrjel. Pan jest pełen tymizmu. „Zaczynam wszystko na nowo. Ty, e, musisz mi pomóc". Wody opadają.

Część II. Scena 11. Kancelarja Pana. Dwie grumurzynki-anioły, sprzątają kancelarję. Skrzya mają owinięte szmatkami, by się nie pobrudiły od mycia podłóg. Szeptem sobie donoszą, że Pan jest okrutnie zły na ludzi, że są niedobrzy, i wciąż spuszcza na nich pioruny. „Oto jeszcze jeden piorun poszedł" (w momencie tym słychać grzmot). Wchodzi Pan, bardzo zdenerwowany i Gabrjel, jak zwykle uśmiechnięty i dobroduszny.

Pan każe Gabrjelowi schować pioruny do pudełka. Przyczem nazywa Archanioła familjarnie z amerykańska, „Gab". Każe zawołać Patrjarchów. Wchodzą Abraham, Izaak i Jakób, murzyni z długiemi siwemi brodami. Narada. Pan chce Swój naród wybrany ulokować w najpiękniejszym zakątku ziemi, w ziemi Chanaan. Kogo ma wyznaczyć na wodza? Jeden ze starców proponuje Mojżesza, swego pra-pra-pra-pra-pra-wnuka. Na tem stanęło.

Scena 12. Mojżesz pasie owce. Pan się zjawia, poleca Mojżeszowi i Aranowi przeprowadzić naród wybrany z Egiptu do Ziemi Obiecanej.

Scena 13. Jedna z najsłabszych. Dwór Faraona, który jest zrobiony pod styl bractwa masońskiego. Mieszanina uniformów, od tureckich fezów (używanych tutaj często przez masonów) aż do konfederatów z r. 1861-5. Nadworny sztukmistrz oraz Mojżesz popisują się sztuczkami. Chodzi o to, żeby sztuczkami przekonać Faraona, by wypuścił Dzieci Izraela z Egiptu. Po wielu próbach, Mojżesz uśmierca syna Faraona i wreszcie otrzymuje zezwolenie na wyprowadzenie narodu wybranego z Egiptu.

Scena 14. Jedna z najpiękniejszych, najbardziej nastrojowych. Dzieci Izraela, pod wodzą Mojżesza dochodzą do Jordanu. Ruchomy pas znowu w robocie, bardzo dobrze wyzyskany, gdy Izraelici, znużeni, idą miarowym krokiem do Ziemi Obiecanej, oświetleni na pomarańczowo. Mojżesz pozostanie tu, na tym brzegu Jordanu, gdy Jozua obejmie dowództwo. Mojżesz zostaje sam, danem mu było widzieć Ziemię Obiecaną ,ale nie danem było do niej wejść. Pan Bóg zabiera Mojżesza do nieba.

Scena 15. Babylon. Jedna z gorszych scen. Babylon jest uwspółcześniony i przybrał formę kabaretu murzyńskiego, z tancerkami, pijatyką, zamordowaniem Proroka (z rewolweru!!) i wreszcie pojawieniem się Pana.

Scena 16. Kancelarja Pana. Patrjarchowie, do których się przyłączył również Mojżesz, błagają Pana, by zechciał zejść na ziemię. Pan jest niebłagany, nie chce mieć nic wspólnego z tak brzydką ludzkością. Ale, po odejściu Patrjarchów, wciąż go niepokoi głos z ziemi, głos Ezry, głos silny, natarczywy. Wreszcie Pan decyduje się zejść na ziemię, ale „wcale nie dlatego, że ty mnie wołasz, tylko tak ot sobie, chce mi się popatrzeć, jak ziemia wygląda".

Scena 17. Spotkanie Pana z Ezrą. Ezra mówi że kocha Pana i że Pan jest MIŁOSIERDZIE. To Pana zastanawia, bo dotąd wszystkie jego ważniejsze decyzje były pomstą.

Scena 18. W niebie — smażenie ryby. Wchodzi Pan, nie chce ani ryby, ani cygara, jest smutny, ale jakby odrodzony. Wreszcie, oznajmia, że wysyła na ziemię Swego Syna, by odcierpiał za ludzkość i ją uratował. Chór anielski śpiewa „spiritual", w tekście przypominający nieco nasze kolendy — o narodzeniu Chrystusa. Kurtyna. Koniec.

* * *

Czy to jest bluźnierstwo? Bynajmniej. To jest hołd Istocie Boskiej, hołd, złożony przez naród gnębiony, naród upośledzony, duże naiwne dzieci. Coś, jakby „Jongleur de Nortre Dame". Każdy Bogu składa hołd w sposób jemu odpowiedni, daje Bogu to, co w nim jest najlepszego. Nawet w purytańskiej i pełnej hipokryzji Ameryce sztuka ta nie wywołała żadnych protestów ani krytyki. Owszem, duchowni wszelkich denominacji, Chrześcijanie — m. in. i katolicy — jak i Żydzi, publicznie w gazetach wyrazili swoją aprobatę i zachwyt. Z punktu zaś widzenia artystycznego — przedstawienie warte zobaczenia.



Scena druga. Smażenie ryby w raju.



Pan Bóg wypędza Adama i Ewę. Scena trzecia.





Oryginalność tej czarnej tualety polega na pięknym ażurowym hafcie i wykończeniu ramion, wałeczkowato marszczonym materjałem. Model Jane Duverne.

JUŻ KARNAWAŁ...

Efektowna tualeta, mod. Lanvin, z czarnego i czerwonego crêpe marocaine, przybrana bogatym kołnierzem z perełek, naszywanych w okrągłe pasy na czarnem tle.



Moda karnawałowa to kwiat najbardziej egzotyczny w jej królestwie. Więc wiele mózgów i rąk wysila się przez długie miesiące, aby wyprodukować okazy, które olśniewać będą wszystkich tęczami barw, wytwornością form i bijącym z nich — niby zapach — urokiem!

To, co ujrzymy w obecnym karnawale przewyższy najśmielej stawiane horoskopy, choć ścieśni znacznie sferę pięknych pań, które będą mogły olśnić salę balową, czy wykwintny cocktail swą tualetą. Satin lamé, układający miękkiemi fałdami przepych swoich mieniących i iskrzących barw. Delikatne koronki, miękkie aksamity w soczystych tonach, kwiaty i pióra, cenne futra a nadewszystko biżuterja w całym splendorze brylantowych lśnień — oto co niesie karnawał 1934!

Dodajmy jeszcze, że suknię wieczorową czy balową uzupełnia komplet złożony z czarownych cacek, figlarnego kapelusika, miniaturowej mufeczki i żakiecika czy cape'u. Wykonane z cieniutkiej siatki naszytej wałeczkami z aksamitu, płatkami kwiatów lub drobniutkiemi piórami, są tak efemeryczne i zwiewne, że nawet nazwy ich wydają się dla nich za ciężkie i należałoby pomyśleć o specjalnej terminologji. Jeszcze lżejsze być muszą woaleczki, które przytrzymuje w owalu grubsza nitka aksamitna. Długość tej woalki nie może przekroczyć linji nosa.

Jeśli nie ubiera pani kapelusza to występuje we fryzurze z brylantowemi spięciami. Modne grzebienie otaczają jej główkę iskrzącą brylantami aureolą. Wtedy specjalnie efektownie zabłyśnie przy sukni brylantowe spięcie, kwiat lub modny klips, a sznur brylantów zamiast paska.

Zapytacie, czy to strój dla wróżki lub księżniczki z bajki. — Nie, to królowa karnawału 1934!

J. Z.



Czarna koronka, aksamit i pióra posłużyły Worthowi do stworzenia tej niezwykle eleganckiej tualety wieczorowej.

Suknia wizytowa z panne'u, o kroju prostym, urozmaiconym bufiastemi rękawami i kołnierzem z metalowych blaszek. Model Lanvin.

EMIL AMMANN.

W służbie najbogatszej kobiety świata.

Sensacyjny reportaż szofera Miss Rockefeller.

Ale jeśli to — zazwyczaj po szko-
dzie! — Zmiarkował, nie wahał się, w przeciwień-
stwie do swej małżonki, uciekać do sądu. Dlatego
też jego klienci byli zazwyczaj ostrożniejsi od „ucz-
niów" i przyjaciół pani Rockefeller.

Między innemi miałem sposobność obserwować,
jak p. Mc. Cormick obdarzał zaufaniem niejakie-
go pana B., który pewnego razu zażądał od niego
dziesięciu tysięcy dolarów na jakieś przedsiębior-
stwo. Wymieniona kwota została mu wypłacona
bez żadnych trudności. Ale gdy w jakiś czas po-
tem Mc Cormick spotkał pana B. i zadał mu py-
tanie, jak idą interesa i kiedy nastąpi zwrot po-
życzki, p. B. okazał wielkie zdumienie i oświadczył
bez zająknienia:

— Ależ ja panu nic nie jestem winien i nie ro-
zumiem, czego pan chce odemnie!

Naturalnie pan mój zaskarżył pana B. W toku
dochodzeń okazało się jednak, iż pretensja była
nieuzasadniona, bo pan B. posiadał dokument,
wystawiony prawidłowo, w którym p. Mc.Cormick
podpisem swoim stwierdzał, iż zwrotu pieniędzy
domagać się nie będzie. Miljoner musiał tedy co-
fnąć swoją skargę, ale oświadczył, że w przyszło-
ści, będzie czytał papiery, zanim je podpisze.

Cóż zresztą znaczyły te dziesięć tysięcy dola-
rów dla miljonera? Bagatelka taka nie zepsuła
mu humoru!

Udział w innem przedsiębiorstwie jeszcze smu-
tniejsze wydał owoce.

Pewnego dnia zgłosił się do p. Mc. Cormicka
znajomy pilot, aby zaproponować mu interes,
który przedstawiał się jako kopalnia złota! Mło-
dy wynalazca skonstruował mianowicie samolot,
który nie mógł ani stracić równowagi, ani rozbić
się w upadku. Według zapewnień pilota maszyna
była zdolną zawsze opuścić się na ziemię powo-
lutku w prostopadłej linji! Jednem słowem, na
owe czasy było to istne cudo!

Mój chlebodawca zainteresował się tym wyna-
lazkiem i sfinansował fabrykację. Sprowadzono
specjalistów robotników, zakupiono maszyny, wy-
najęto lokal fabryczny.

Po trzech miesiącach aparat był gotów i przy
pierwszej próbie rozbił się w drzazgi.

Wynalazek ten kosztował mego pana bez mała
miljon franków. To go zgniewało i skłoniło do
wyjazdu; fabryka została zamknięta.

Wreszcie plątała się koło nas stale spora gro-
mada przeróżnych rycerzy przemysłu i żebraków
zawodowych. Pani Rockefeller, zależnie od chwi-
lowego kaprysu, traktowała jednych życzliwie,
odprawiała drugich, nie troszcząc się o to, czy
petenci byli godni wsparcia czy nie.

Wielu wydrwigroszów znało najkrótszą drogę
wiodącą do celu. Ponieważ bardzo trudno było do-
stać się przed oblicze mojej pani, jeśli się nie sta-
wiło objektu „analitycznego", ten i ów ze spry-
ciarzy zwracał się do niej z prośbą o analizę, za-
zwyczaj z pomyślnym skutkiem. Pewnego
razu zgłosił się jednak inwalida wojenny
z uszkodzoną ręką, prosząc o wsparcie. Pani
była w złym humorze i wzbraniała się sta-
nowczo wesprzeć biedaka, wbrew perswa-
zjom Emmy, która usiłowała zmiękczyć jej
serce. „Za dużo kręci się tu ludzi, którzy u-
dają biedaków, a niektórzy próbują nawet
wmawiać w nas, że złamali rękę lub nogę,
choć to jest nieprawda". I inwalida musiał
odejść z kwitkiem.

Dwie osoby, robotnice fabryczne, pisały
z dziesięć razy, domagając się małego
wsparcia w kwocie... dziesięciu tysięcy fran-
ków. Motywowały swe żądanie konieczno-
ścią dłuższego wypoczynku, w towarzystwie
swoich przyjaciół, bo pracowały bez prze-
rwy przez kilka lat z rzędu. Z listów ich wy-
nikało, że, ich zdaniem, pani Rockefeller
właściwie dłużna im była tę sumkę. Fak-
tycznie pewnego dnia kazała im przesłać
czek na żądaną kwotę.

Innym razem zjawiła się uboga kobiecina
z małemi dziećmi, prosząc o dwadzieścia
franków. Pani Rockefeller odmówiła wspar-
cia, pieniądze dała Emma ze swej kieszeni.
Prawdziwe ubóstwo nie znajdowało łaski
u miljonerki.

Codziennie nadchodziły dziesiątki listów
żebraczych, adresowanych zwykle: „JWna
Amerykańska miljarderka, Hold X. w Zu-
rychu".

Poza wyznawcami psychoanalizy pani
Rockefeller najchętniej opiekowała się
aktorami i muzykami. Teatr miejski w Zu-
rychu otrzymał od niej hojną subwencję.
Nadto założyła kasę zapomogową dla arty-
stów, wkładając w nią kapitał w kwocie
...0.000 fr. Pieniądze stopniały jak śnieg na
wiosnę i po kilku miesiącach nie było już
ani grosza w kasie. Wspomniałem poprzed-
nio, że pani Rockefeller obdarzyła piękną
willą pewnego młodego muzyka; także jeden
[illegible]
lów; okazywał się jednak zawsze bardzo umiarko-
wanym w swych pretensjach.

Innym faworytem był książę Aleksander Ho-
henlohe, syn byłego kanclerza Rzeszy. Wojna
i rewolucja zrujnowały go. Przed wojną zamie-
szkiwał piękny pałac przy Avenue du Bois de
Boulogne w Paryżu, posiadał też willę na Rivie-
rze. Z chwilą wybuchu wojny posiadłości uległy
sekwestracji, a książę schronił się do Zurychu.
Od rządu niemieckiego otrzymywał zasiłki, które
jednak nie starczyły na pokrycie kosztów luksu-
sowego trybu życia. Począł tedy robić długi i nie
był wkrótce w możności zapłacić rachunku hote-
lowego. Gdy moja pani o tem się dowiedziała, za-
interesowała się „nieszczęśliwym księciem" i po-
krywała jego rachunki w hotelu. Później wysta-
rał się książę o pracę zarobkową; pisywał arty-
kuły polityczne dla „Neue Züricher Zeitung"
i „Berliner Tageblatt", które podobały się czy-
telnikom. Były utrzymane w neutralnym tonie,
i raz Francja, raz Niemcy poddawane bywały
krytyce. Odpowiadało to sytuacji autora, skoro
przebywał jako gość w Szwajcarji. Zapewne od-
powiadało to także jego przekonaniom.

Gdy moja pani opuściła Zurych, powrócił ksią-
żę do Niemiec. Zabrał ze sobą także starego słu-
żącego, który całkowicie był mu oddany, jakkol-
wiek rzadko kiedy otrzymywał pensję. Książę był
sparaliżowany, tak że musiał być wożony w fo-
telu na kółkach. Był nieslychanie wychudzony,
wyglądał jak szkielet, obciągnięty skórą. Morfi-
na, którą zatruwał się od lat, podtrzymywała go
przy życiu, niszcząc je zarazem. Zmarł przed kil-
ku laty w „nędzy", przynajmniej w swojem poję-
ciu.

Najsprytniejszym z pośród naszych pupilów
był młody, 25-letni Austrjak, niejaki Krenn.
Przybył do Zurychu bez grosza w kieszeni, gro-
ziło mu wydalenie jako niepożądanemu cudzo-
ziemcowi, ale wpadł na pomysł szukania pomocy
u pani Rockefeller — i poszczęściło mu się! Zo-
stał uznany za jednostkę analityczną, pobierał
lekcje, okazał się uczniem pojętnym, który zrazu
przychodził dwa lub trzy razy w tygodniu na go-
dzinę, potem co dzień na godzinę a wreszcie go-
dzina ta wydłużyła się i trwała od południa do
północy. Dziś jest Krenn amerykańskim obywa-
telem i żyje w Chicago, jako właściciel kilku mi-
ljonów dolarów, które zarobił dzięki swoim zdol-
nościom psychoanalitycznym.

Feblik mojej pani do Krenna i stałe przeby-
wanie jego w towarzystwie miljonerki dostarcza-
ły oczywiście sporo tematu do plotek na bruku
zuryskim. Różni znajomi pani Rockefeller, mię-
dzy nimi dr. X, usiłowali powstrzymać ją od
skandalicznych wybryków, odpowiadała im jed-
nak zawsze ulubionym swoim frazesem: „This is
my problem and I can do what I please" (to mo-
ja rzecz i mogę robić co mi się podoba).

Jakoż istotnie nie krępowała się wcale. Przed
południem udzielała lekcyj swemu młodemu
uczniowi, po południu wyjeżdżała z nim na spa-
cer samochodem, wieczorem odwiedzała teatr lub
kino w jego towarzystwie i wracała z nim razem
do hotelu, gdzie kazała podawać kolację na dwie
osoby do swego apartamentu. Zazwyczaj dopiero
o godzinie drugiej w nocy uczeń udawał się do
siebie.

Razu pewnego jednak zasiedział się zbyt długo.
I zdarzyło się, że gdy nad ranem drzwi otwierał,
korytarzem przechodziła właśnie pani Bethmann
Hollweg, małżonka byłego kanclerza niemieckie-
go, i była świadkiem, jak pani Rockefeller
w lekkim negliżu, czule żegnała się z przystoj-
nym uczniem. Nazajutrz goście hotelowi mieli
piękny temat do rozmowy.

Z okazji przyjazdu maestra Campanini przy-
szło do scen. Pani Rockefeller, która uwielbiała
tego muzyka, prosiła Krenna, aby na czas jego
pobytu przerwał swoje wizyty. Krenn jednak nie
zgodził się na to. Emma musiała tedy stać na
straży w przedpokoju, aby jeden z drugim się nie
spotkali. Pewnego wieczora jednak nadszedł pan
Mc. Cormick, i nie zważając na sekretarkę, wpadł
do pokoju swej żony. Za chwilę słychać było jak
krzyczała.

— Haroldzie, nie chcę, abyś wchodził do mego
pokoju bez uprzedniego zameldowania się u Em-
my!

W tym czasie pan Mc. Cormick dał się opero-
wać przez dra Woronowa. Później dowiedziała
się, że z powodu tej kuracji odmładzającej ścią-
gnął na siebie w Ameryce burzę, wszyscy jed-
nak, którzy go widzieli po operacji, przyznawali,
że wyglądał o jakie 30 lat młodziej.

Ta kuracja odmładzająca była uzasadniona, bo
pan mój nosił się wówczas z zamiarem rozwodu,
który miał mu umożliwić poślubienie sławnej
artystki Hanny Walskiej.

Historja tej Hanny Walskiej jest wielce oso-
bliwa. Urodzona w Polsce występowała w War-
szawie w jednej z kawiarń i wyszła zamąż na-
przód za Rosjanina, następnie za Niemca amery-
kańskiego, którzy obaj pomarli. W czasie wojny
przebywała w Zurychu, gdzie poznała mego pana.
Była z pewnością jedną z najpiękniejszych kobiet
w świecie, ale w wiecznych kłopotach pienięż-
nych. Podejrzewano ją też o szpiegostwo.

W każdym razie pan mój bardzo się nią zainte-
resował i w dwa lata później ożenił się z nią. Mał-
żeństwo to należało do najosobliwszych na świe-
cie. Pan Mc. Cormick żył stale w Chicago, jego
żona zaś w Paryżu, gdzie miała pałac przy rue
de Lubeck. Sześć lat trwało to małżeństwo. Przez
ostatnie lata małżonkowie nie widzieli się wcale
osobiście; wreszcie się rozwiedli.

Atmosfera zbytku i wyuzdania, w której prze-
bywałem, wywierała zgubny wpływ na mnie. By-
łem żonaty i miałem troje dzieci, które kochałem,
ale w tym czasie niewiele myślałem o swej rodzi-
nie. Rzadko kiedy pokazywałem się w domu. No-
ce spędzałem z Emmą, sekretarką mojej pani
i często urządzaliśmy w gronie przyjaciół
pijatyki, które kończyły się orgjami.

Wreszcie jednak zdobyłem się na krok de-
cydujący i postanowiłem zerwać z tem ży-
ciem. Moja żona dowiedziała się o stosunku,
jaki mnie łączył z Emmą i prosiła mnie
usilnie, abym wrócił na drogę solidnego ży-
cia. Na szczęście usłuchałem jej i zwróciłem
się do pani Rockefeller z prośbą o poslu-
chanie. Przyjęła mnie w tym samym salo-
nie, w którym ją ujrzałem poraz pierwszy.

Rozmowa nasza była krótka.

— Pani, — rzekłem — proszę o zwolnienie
mnie ze służby. Pragnę niezwłocznie opuścić
Zurych.

Patrzała mi długo w oczy. Wreszcie po-
woli wypowiedziała te słowa:

— Ammann, bardzo lubię pana. Pan jest
analityczny. A więc... czyń pan, co panu
każe podświadomość.

Ukłoniłem się i wyszedłem.

Nazajutrz spakowałem swe manatki.

W tydzień później byłem w drodze do
Port Said — i w końcu, po trzydziestu pię-
ciu dniach żeglugi, wylądowałem na Mada-
gaskarze, w pośrodku Oceanu Indyjskiego.

Co mnie skłoniło jechać właśnie na Ma-
dagaskar? Nie wiem i nie mogę odpowie-
dzieć na to pytanie.

Psychjatra próbowałby może wytłuma-
czyć mój nagły wyjazd hypnotyczną suge-
stją ze strony mojej pani. Wydaje mi się to
zupełnie możliwe, bo w kilka miesięcy po-
tem opuściłem równie nagle wyspę, aby od-
wiedzić panią Rockefeller w Chicago, dokąd
udała się w kilka miesięcy po moim wyjeź-
dzie z Zurychu.

O przygodach moich w Chicago, gdzie zo-
stałem umieszczony w szpitalu obłąkanych
ale dzięki staraniom konsula po kilku tygo-
dniach wypuszczony na wolność i odesłany
do Europy, opowiem innym razem.

KONIEC.



Hanna Walska obecna żona Mc. Cormicka.



GRETA GARBO.

Słowo „garbo" znaczy w języku hiszpańskim — odwaga. I nie bez przyczyny Greta Gustaerson przybrała jako pseudonim nazwę Garbo. Bo przed nią nie było artystki, któraby tak odważnie wypowiadała się swoją grą. Greta jest zapatrzona gdzieś daleko. Czyżby wypatrywała, jak długo świecić jeszcze będzie gwiazda powodzenia?

Nastroje sylwestrowe.



Sylwester kochany dzień. Przeżywamy go w radosnym nastroju, ciesząc się, że już jutro rozpocznie się Nowy Rok, naturalnie stokroć lepszy od poprzedniego, który zawiódł nasze nadzieje i rozczarował nas na całej linji. To też cały świat święci Sylwestra w szampańskim nastroju. Nie trzeba dodawać, że artystki filmowe przodują w tych zabawach. Rozpiera je młodość i radość życia. Na zdjęciu jedna z bezimiennych girlasek, która w noc Sylwestrową trochę za często zaglądała do kieliszka z szampanem.

NA HUŚTAWCE SZCZĘŚCIA.



Gaby Morley, popularna artystka francuska występująca w teatrze i w szeregu filmach, może o sobie śmiało powiedzieć, że sprzyja jej szczęście, gdyż prócz powodzenia jakie stale towarzyszy jej występom, zarówno scenicznym jak i filmowym — wygrała ostatnio na loterji 10 tysięcy franków. Gaby siedząca na huśtawce rozmyśla o szczęściu, jakie ją niespodziewanie spotkało. Trzeba przyznać, że w tej pozie wygląda pięknie.

LIEDTKE WRACA NA EKRAN.

Harry Liedtke, którego specjalnością były role oficerów austrjackich, już kilka razy zapowiadał, że ze względu na „przekroczoną granicę wieku" wycofuje się bezapelacyjnie z ekranu. Tak było i przed kilku łaty. Obecnie jednak dochodzą wieści, że Liedtke opuścił swoją zaciszną posiadłość na wsi, gdzie zajmował się dokarmianiem sarn (na zdjęciu) i niebawem wystąpi w kilku filmach austrjackich.



POLSKIE AMANTKI FILMOWE.


Zofja Batycka.


Nora Ney.


Hanka Ordonówna.


Lili Zielińska.


Tola Mankiewiczówna.

W początkach filmu polskiego na ekranie polskim pojawia się w rolach amantek młodziutka artystka, której danem potem było zdobyć sławę światową Pola Negri.

Obok niej Halina Bruczówna, Halina Starska, Marja Mirska, Janina Szyllinżanka, Marja Brydzińska, Mary Mrozińska. Helena Makowska — po całym szeregu filmów robionych we Włoszech, powraca do kraju i gra główną rolę w filmie: „Czerwony błazen". Potem Makowska wycofuje się z pracy filmowej i kształci się w śpiewie, osiągając w tej dziedzinie poważne sukcesy, jako primadonna operetkowa.

Przez ekran polski przesuwają się rozmaite twarze niewieście, ale najtrwalszą, najszerszą popularność zdobyła Jadwiga Smosarska.

JADWIGA SMOSARSKA.

Wychowanica szkoły dramatycznej warszawskiej w filmie debiutuje w 1929 r. w obrazie propagandowym „Bohaterstwo skauta polskiego". — Potem następuje długi szereg filmów, które zdobywają Smosarskiej tytuł „królowej ekranu polskiego". A zatem „Tajemnica przystanku tramwajowego", „O czem się nie mówi", Ziemia Obiecana", „Trędowata", „Iwonka", „Tajemnica starego rodu" (reżyserja Chaberskiego). „Grzeszna miłość" (reżyseruje Mieczysław Krawicz), „Na Sybir" i „Rok 1914" w reżyserji Szaro i „Księżna Łowicka" reżyserowana przez Krawicza. Ostatnio Smosarska odtworzyła postać tytułową w filmie „Prokurator Alicja Horn". — Poraz pierwszy Smosarska uważana dotychczas za typ dziewczęcia polskiego — gra rolę o zupełnie innym charakterze i o podkładzie silnie dramatycznym.

NORA NEY.

Typ urody egzotycznej, nieregularnej. Debiutuje w filmie: „Czerwony błazen" w epizodzie cyrkówki.

Potem gra „Zew morza", odtwarzając postać Malajki półkrwi, w „Policmajstrze Tagiejewie" gra Józię pokojówkę, kochankę policmajstra. Następnie: „Kobieta, która grzechu pragnie" w reżyserji Bieganskiego, „Uroda życia" i „Serce na ulicy" (oba te filmy reżyseruje Gardan), „Głos Pustyni — rola Arabki (reżyserja Waszyńskiego).

Nora Ney, jak wiele innych aktorek filmowych — stara się ostatnio połączyć pracę filmową ze sceniczną. Występowała już kilkakrotnie w rewji — w charakterze pieśniarki i grała w sztuce Romana Niewiarowicza „Ludzie na sprzedaż".

Nora Ney jest małżonką operatora filmowego Steinwurzla.

MARJA MALICKA.

Jedna z najbardziej utalentowanych aktorek młodego pokolenia — do filmu przychodzi z teatru. Debiutuje w „Niewolnicy zmysłów", grając drugą rolę obok Smosarskiej, następnie gra w „Mogile Nieznanego Żołnierza" w reżyserji Ordyńskiego, „Dzikuskę" z Sawanem, jako partnerem — po tym filmie następują zaręczyny Malickiej z Sawanem. W reżyserji Krawicza Malicka gra wiejską dziewczynę Marysię w „Szlakiem hańby", filmie osnutym na tle handlu żywym towarem i śpiewaczkę kabaretową w filmie „Janko Muzykant". Dalej „Wiatr od morza" i „Uwiedziona". W ciągu ostatnich dwu lat Malicka nie nakręcała żadnego filmu.

ZOFJA BATYCKA.

Zabłysnęła odrazu swą urodą i inteligencją gry. Debiutuje w filmie „Grzeszna miłość", potem gra agentkę policji w „Szlakiem hańby" wampiryczną amantkę w „Duszach w niewoli", epizodyczną rolę Matyldy w „Moralności pani Dulskiej"...

W 1930 r. otrzymuje tytuł Miss Polonji i już jako „Królowa piękności" gra Olgę w „Dziesięciu z Pawiaka" i główną rolę kobiecą w filme mówionym Paramountu „Kobieta, która się śmieje".

Obecnie Zofja Batycka wycofała się zupełnie z filmu i z życia artystycznego. Wkrótce ma odbyć się jej ślub z Włochem Geraldim, konstruktorem motorów lotniczych z Genui.

NINA GRUDZIŃSKA.

Nina Grudzińska - Gaszyńska — piękna brunetka — o smagłej brzoskwinowej cerze i szmaragdowych oczach, karjerę rozpoczęła jako śpiewaczka operowa. Z opery przechodzi do filmu oraz na scenę rewji i operetki.

Dotychczas Grudzińska grała w filmach „Puszcza" i „Pałac na kółkach". Duże jej możliwości nie zostały dotychczas należycie przez reżyserów polskich wyzyskane.

KAROLINA LUBIEŃSKA.

Lubieńska, artystka scen krakowskiej, poznańskiej, łódzkiej i warszawskiej w filmie po raz pierwszy wystąpiła, grając w „Dziesięciu z Pawiaka", otrzymuje potem role w filmach „Pałac na kółkach", w „Ostatniej eskapadzie". Ostatnio grała rolę Ewy w filmie „Dzieje grzechu".

LILI ZIELIŃSKA.

Lili Zielińska rozpoczęła pracę filmową zagranicą w filmie włoskim i francuskim pod pseudonimem Lili Ljona. W Polsce nakręciła dotychczas trzy filmy „Każdemu wolno kochać" w reżyserji Krawicza „Sztabskapitan Gugabrjew" oraz „Afera Krystynki" w reżyserji swego męża Tadeusza Chrzanowskiego.

HANKA ORDONÓWNA.

Hanka Ordonówna (nazwisko po mężu hr. Tyszkiewiczowa) ulubiona, subtelna pieśniarka zadebiutowała w filmie „Szpieg w masce" w reżyserji Krawicza. Ordonówna gra w tym filmie rolę kobiety-szpiega, istoty wykolejonej, zdeprawowanej, a odradzającej się moralnie przez miłość.

JADZIA ANDRZEJEWSKA.

Najmłodsza z pośród aktorek polskich, zdobyła sobie w teatrze rozgłos rolą Manueli w „Dziewczętach w mundurkach". Obecnie gra główną rolę w filmie „Wyrok życia" według scenarjusza Marji Morozowicz-Szczepkowskiej — w reżyserji Krawicza.

TOLA MANKIEWICZÓWNA.

Ktoś nazwał Tolę Mankiewiczównę polską Jeanette Mac Donald — ze względu na jej humor, wdzięk, miły uśmiech i walory wokalne. W filmie „10 procent dla mnie" Mankiewiczówna zdobyła wielkie powodzenie.

* * *

Dokonując przeglądu amantek polskich filmowych niepodobna pominąć Krystyny Ankwicz, która ma już poza sobą cały szereg filmów jak „Skandal w Szczawnicy", „Kult ciała", „Cham", „100 metrów miłości".

Należy też wspomnieć o Zabęckiej, o Skalskiej, o filaternej Wandzie Zawiszance, o interesującej Lili Romskiej, o rasowej Izie Belince, o milutkiej Alicji Halamie, o wampirycznej Alicji Borg. Wiele, bardzo wiele twarzy kobiecych przesunęło się przez ekran polski, ale tylko nieliczne pozostawiły jakieś silniejsze, trwalsze wspomnienie.

J. Migowa.


Jadwiga Smosarska


Nina Grudzińska.


Marja Malicka.


Karolina Lubieńska.


Jadzia Andrzejewska.

DZIEWCZĄTKA NA SZCZYCIE MARZEŃ.

Marzeniem każdej kobiety współczesnej jest własne auto. Czy to będzie wytworny „Cadillac“, czy zwykły „Ford“ — to wszystko jedno. Byleby był własny. Girlsy z Hollywoodu nie mogą marzyć o własnych, prawdziwych samochodach. Też korzystając z pięknej pogody, wybrały się na wycieczkę malutkiemi samochodzikami dla dzieci. Wyglądają w nich niczem roześmiane dzieciaki. Mają przecież wszystko: słońce, samochód, a przedewszystkiem młodość.

W HOLLYWOOD KWITNIE HANDEL... NIEWOLNIKAMI.

Niejednego z kinomanów musiał zapewne zastanowić fakt, dający się zaobserwować dość często w ostatnich czasach: mianowicie wielu artystów i to nieraz bardzo wybitnych, występuje w filmach nakręconych za każdym razem przez **inną** wytwórnię. — Czyżby kontrakty opiewały na jeden tylko film?

Tak nie jest... W rzeczywistości sprawa ta przedstawia się bardzo prosto — a przytem dosadnie charakteryzuje stosunki hollywódzkie. — Otóż w ostatnich latach rozwinął się w Hollywood prawdziwy handel „wymienny“, polegający na tem, że wytwórnie wypożyczają sobie nawzajem artystów do poszczególnych filmów. Oczywiście nikt nie pyta zainteresowanej gwiazdy czy się na te „pożyczki“ zgadza, czy nie, bo producent uważa artystę za swoją... własność. I nie bardzo się myli. Kontrakt z własnoręcznym podpisem artysty — to wyrok na jego jestestwo. Wytwórnia dysponuje nim dowoli, według własnego uznania.

W związku z powyższym, nowym „kursem“ w wytwórniach hollywoodzkich, daje się zauważyć charakterystyczna zmiana: Dawniej wytwórnia kupowała lub zamawiała u dramaturga odpowiedni scenarjusz dla swej gwiazdy — obecnie zaś kupuje scenarjusze i dopiero do nich... wypożycza odpowiednich wykonawców. Dawniej każda wytwórnia dążyła do prawa wyłączności, a więc nie tylko nieodstępowania artystów, ale nadto surowo zastrzegano w kontrakcie, że danemu artyście przez parę lat nawet po wygaśnięciu kontraktu — nie wolno przyjąć nowego engagement do niektórych konkurencyjnych wytwórni... Obecnie zaś „wynajmuje się“ gwiazdy na lewo i na prawo, aby... interes szedł.

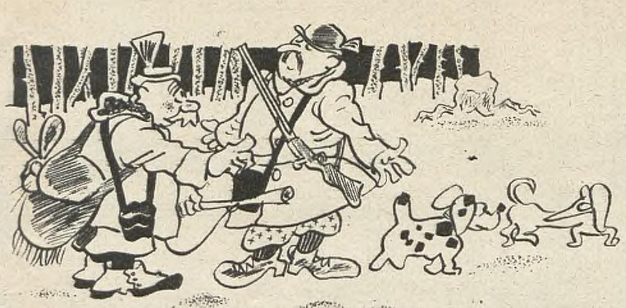
Zwyczaj „pożyczania“ tak się ostatnio rozpowszechnił, że artyści są poprostu... zadowoleni, gdy się ich odnajmuje... Miarą powodzenia i popularności gwiazdy stał się stopień zapotrzebowania jej w konkurencyjnych wytwórniach... Dla większości artystów kontrakty ich odgrywają raczej rolę „okrężnych biletów“ po wytwórniach. Taka naprzykład Joan Bennett dopiero po dwóch latach wędrówki od studja do studja, jako „pożyczana“, wróciła do „United Artists“, właściwej swej wytwórni, aby grać w pierwszym filmie dla tejże wytwórni.

Rekord „wędrówki pożyczkowej“ w Hollywood pobił Conrad Nagel, którego kontrakt z wytwórnią „Metro-Goldwyn-Mayer“ spoczywa spokojnie w szufladzie Goldwyna, ciągnącego ogromne zyski z tego „wynajmu“... Niekiedy zdarzają się pożyczki... na wieczne nieoddanie. Miało to np. miejsce z Bebe Daniels, która należała do wytwórni „Foxa“, a wypożyczona przez „R. K. O.“, została przez tę ostatnią przywłaszczona, oczywiście na mocy umowy między obiema wytwórniami.

Należy jeszcze wspomnieć o niezmiernie charakterystycznym szczególe. Mamy tu na myśli treść umowy „pożyczkowej“. Otóż producent wynajmujący — wiedząc o tem, że jeden marny film może zrujnować doszczętnie karjerę nawet utalentowanego i popularnego artysty — robi wszystko, co w jego mocy, żeby zabezpieczyć swoją własność, tj. pożyczonego artystę... To też umowa wynajmu między producentami zawiera wiele warunków, zastrzeżeń i punktów, których niema wcale w kontrakcie między producentem i artystą: Każdy szczegół — poczynając od roli i stanowiska wypożyczonego artysty w nowym zespole, aż do... wielkości liter, jakiemi nazwisko jego ma figurować na afiszach, reklamach świetlnych itp. — podlega skrupulatnej kontroli istotnego „właściciela“ gwiazdy. Często zdarza się, że nawet napisy w filmie, dialogi, teksty piosenek i ilość tychże, kostjumy i fryzury, muszą być zatwierdzone przez właściciela gwiazdy...

M. G.

Usprawiedliwienie.



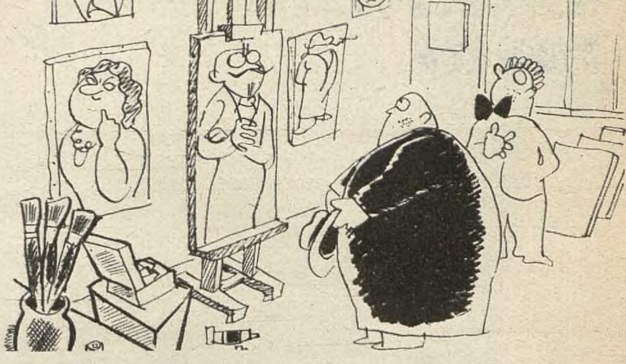
— *Co widzę, prezes Twa ochrony zwierząt na polowaniu?!*
— *Tak, ale, czy ja już kiedy trafiłem?!...*

Szczery gość.



— *Może pan zostanie u nas na kolacji?*
— *Kiedy ja wieczorem bardzo mało jadam, to już wolałbym przyjść jutro na obiad.*

Krytyka.



— *Wy portreciści musicie mieć wielu wrogów!...*
Usprawiedliwienie.

Najlepsze rozwiązanie.



— *Cóż to, kość w pysku?*
— *Tak, znalazłem o jedną kość za dużo.*

A propos.



HUMORYSTA: Czy mogłabyś dostać z auta papier i ołówek? Wpadł mi właśnie świetny kawał!...

Znak czasu.



— *Hej, czy ma pan jeszcze to stare ubranie, które sprzedałem przed rokiem? Chciałbym je odkupić z powrotem...*

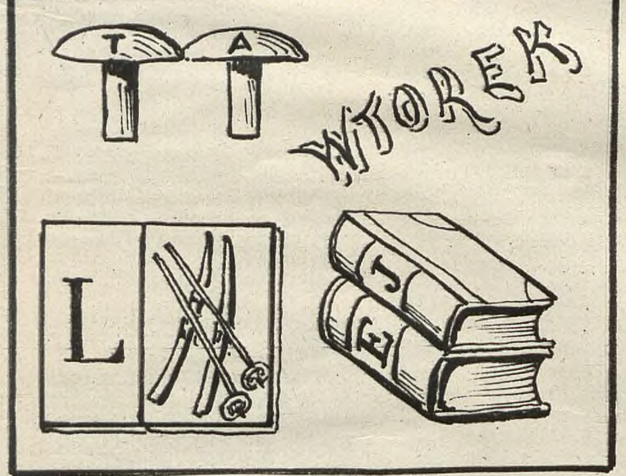
Wytworny małżonek.



— *Jesteś rzeczywiście zupełnie, jak słońce...*
— *Dlaczegóż to, drogi mężusiu?*
— *Bo nie można się patrzeć na ciebie!...*

REBUS.

Z. TIETZA.



REBUS.

Z. TIETZA.



Za rozwiązanie powyższych dwóch rebusów, redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza 20 złotych, druga 10 złotych, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida".

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 6 stycznia 1934 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 50.

SZARADA: Chcecie pokoju? Szykujcie wojnę!

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 50 nadesłali:

Włodz. Tyszkiewicz, Poznań; „Pik 20", Słonim; „Bebe", Słonim; J. Drabikówna, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; H. Ikierska, Poznań; St. Jędrzejewski, Warszawa; W. Hoffman, Warszawa; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; A. Kowański, Warszawa; Z. Słowikowski, Warszawa; H. Szelag, Prokocim; kpt. L. Hauschild, Nowy Targ; W. Krzyworzeka, Kraków; St. Beśka, Stołpce; Aleks. Cwynar, Kraków; J. Zapiór, Kraków; Lala Szokalska, Wilno; Baltazor Sobocki, Zbiersk; W. Umiński, Bydgoszcz; J. Kowal, Stołpce; inż. J. Gilewicz, Warszawa; Z. Lasocka, Warszawa; J. Lubowicki, Kraków; B. Jastzębski, Wilno; J. Klachacz, Mikołów; Emanuel Fronczek, Sosnowiec; H. Weisło, Sosnowiec, M. Gaklikówna, Lwów; Wład. Jankowski, Żywiec; Halina Zamoyska, Skierniewice; Z. Żukowa, Jędrzejów; J. Englert, Lwów; dr H. Landau, Rozwadów; Lili Słosecka, Inowrocław; J. Lisowa, Kraków; dr E. Witkowska, Kraków; Bol. Jurczyk, Krynica; Wład. Wicherek, Czechowice; Justyna Krasnodębska, Seroczyn; Kaz. Figurowa, Kraków; Z. Korzeniowski, Żywiec; **Mira Kopińska, Warszawa (zł. 20.—)**; J. Habitas, Żywiec; „Grenicheux", Warszawa; Baśka Napiórkowska, Skotniki; „Wilnianin", Dubno; L. Glaszmidt, Warszawa; Józef Klima, Kraków; W. Chmielowska, Poznań; Tad. Stycuła, Kraków; ks. Ir Błasikiewicz, Sandomierz; Aleks. Boroń, Łódź; Stan. Mikowska, Warszawa; Stefan Effert, Poznań; Ewa Burdzowa, Wilno; Z. Pieracki, Wilno; M. Fallenbüchlowa, Piotrków Tryb.; R. Gumiński, Zalesie; L. Kuławski, Żywiec; Edw. Gugulski, Jędrzejów; J. Obtułowicz, Żywiec; „Marysia" F., Kraków; A. Wawrzecka, Trzebinia; Stef. Pietrzykówna, Kraków; por. Br. Bubnicki, Kraków; dr Fr. Wilczyński, Dziekanka; Wira Berbecka, Warszawa; Feliks Fedzin, Wisznica; Stan. Wieliczko, Stanisławów; Bron. Zarembiński, Augustów; Ir. Zabieglińska, Pabjanice; Janusz Dawid, Toruń; Irena Dobińska, Starogard; Wacław Wysocki, Skierniewice; J. Świerczyńska, Lwów; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; J. Szewczyk, Nowy Dwór; Stan. Musiał, Długoszyn; Alojzy Kopel, Mikołów; Wiktor Czech, Oświęcim; Tadeusz Fijas, Warszawa; **Stanisław Szafraniec, Kraków (zł. 10.—)**; Miecz. Blumenkopf, Warszawa; A. Piwowarczyk, Borysław; Szczepan Dorosz, Drohobycz; Berthold Buksz, Stawiszyn; L. Siuda, Poznań; Wł. Górnikiewicz, Kraków; Anna Papee, Katowice; Zdzisław Weiss, Warszawa; Edmund Miłowski, Poznań; M. Strubel, Warszawa; „Karo 50"; Ewa Brzozowska, Warszawa; M. Zielińska, Nowy Bytom; Z. Ćwik, Warszawa; Stanisław Maciejczyk, Mysłowice; W. Bereźnicka, Warszawa; M. Pułkowa, Żywiec; Wł. Tkacz, Chełm; Fr. Rubczakowa, Warszawa; St. Golińska, Wołoszyn; C. J. Kaczkowski, Warszawa; H. Ławrentjewowa, Poznań; Irena Senze, Żychlin; Z. Kuśmider, Pabjanice; K. Maciejowska, Katowice; Alina Serafinówna, Nowy Sącz; „Rozmaryn"; „Świetlica" przy 7 kl. powsz. im. St. Staszica nr. 1., Ostróg; J. Szczurek, Łagiewniki; Stan. Krężel, Czarna Wieś; W. Siuta, Kołomyja; Stan. Gajewski, Łódź; Irena Minjówna, Wilno; **Irena Z. Wójoikówna, Równe Wołyńskie (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 I. 1934)**; Fran. Jarocka, Warszawa; M. Czajkowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; H. Zadarnowski, Dubno; „Kielce..."; Jasińska, Oświęcim; M. Jamka, Rzeszów; L. Hirschówna, Kraków; Jerzy Sass, Krzeszowice, Br. Anolin, Sianowo; M. Marcinkowski, Mirachowo; Kaz. Rawicz, Królewska Huta; J. Walczyna, Kraków; W. Ciepiela, Kraków; M. Jagusiński, Kraków; Kaz. Białkowski, Bydgoszcz; M. Pietrasiewiczówna; Ozorków; M. Krzyżaniakówna, Samotuły; J. Zaleska, Lwów; M. Ziemska, Lublin; Jawna Kowalska, Warszawa; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; Kaz. Brok, Dąbrowa Górn.; M. Hirszenfeldówna, Węgrów; Michał Adamczyk, Węgrów; Z. Neumanówna, Kołomyja; H. Tarwińska, Poznań; Eug. Petrynowski, Kutno; Z. Ptaszyńska, Oświęcim; J. Poszewiecki, Mołodeczno; St. Żelazowski, Busko; R. Dergiman, Wilno; inż. J. Modrzejewski, Lublin: J. Kremer, aZleszczyki; Edw. Grabarski, Dąbrowa; M. Frankiewicz, Lwów; Kaz. Kasprzycki, Bydgoszcz; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; J. Maziarz, Ozorków; Wład. Łoiketek, Mińsk Maz.; B. Ramułtowa, Jeżów; M. Taras, Stryj; J. Kozłowski, Rawa Ruska; J. Kwiatkowski, Warszawa; Cz. Kozłowski, Warszawa; Alfr. Switkowska, Lwów; St. Donchrowiczówna, Kutno; Anna Loeglerówna, Lwów.

Nagrody otrzymali pp. Mira Kopińska, Warszawa (zł. 20.—), Stanisław Szafraniec, Kraków (zł. 10.— prosimy uprzejmie zgłosić się po odbiór kwoty) i Zofja Wójcikówna, Równe Wołyńskie (prenumerata miesięczna „Światowida" od 1—31 stycznia 1934 r.).

Redakcja „Światowida" pieniądze prześle niebawem.

SKROMNA.

— Dziesięć lat jesteśmy po ślubie i moja żona ma zawsze to samo życzenie na gwiazdkę.
— Co ty mówisz, jest taka skromna?
— Skromna?! Ona chce zawsze nowe auto!

KOMPLEMENT.

— Ależ się pani zmieniła!
— Czy na korzyść?!
— Pani może się tylko na korzyść zmienić...

DOŚWIADCZONA.

— Powiedz najdroższa, czy jestem pierwszym mężczyzną, którego pocałowałaś!?
— Że też wszyscy mężczyźni muszą to samo głupie pytanie zadawać! Naturalnie, że jesteś pierwszym!...

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.



W NOC SYLWESTROWĄ.